WTOREK Nr 33 11 V 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Coraz cieplej, a wraz ze wzrostem temperatury powietrza – rośnie chęć zabaw nad wodą: a nuż się złowi taaka ryba?! Amatorów wędrówek nad wodę i zabawy w „wędkarzy" ostrzegamy: WODA ZAWSZE JEST GROŹNA I TAKA ZABAWA MOŻE SIĘ SKOŃCZYĆ TRAGICZNIE!

Fot. Jacek Łopuszyński

I OTWARTE MISTRZOSTWA WARSZAWY W UKŁADANIU KOSTKI RUBIKA

Warszawski rekord – 28,5 sekundy!

(Inf. wł.). Po Wrocławiu i Poznaniu także Warszawa doczekała się swoich mistrzostw w kostce Rubika. Na stadionie „Skry" 25 kwietnia br. odbyły się pasjonujące zmagania mistrzów w kręceniu kostką, wśród których znalazł się także nasz faworyt, Jacek Truszkowski, o którym pisaliśmy w 27 numerze „ŚM".

Regulamin mistrzostw był dość prosty, mogli w nich startować wszyscy chętni, którzy układają kostkę w czasie poniżej 2 minut.

Do eliminacji przystąpiło 46 zawodników, od 7 do 26 lat (swoją drogą ciekawe dlaczego zgłosiła się tylko jedna dziewczyna, czyżby kręcenie kostką okazało się dyscypliną wyłącznie męską?). Najmłodszy uczestnik, siedmioletni Michał Niewiadomski, złożył kostkę w czasie 1.49 min.! Mama Michała, która przywiozła go na stadion, twierdzi, że najlepszy „domowy czas" syna, to 1,26 min. Pierwszoklasista jednak nie zakwalifikował się do finału, konkurencja była zbyt poważna.

Do finału przystąpiło 10 zawodników. Rozegrano 6 rund, to znaczy każdy zawodnik 6 razy układał kostkę, a decydował o wygranej najlepszy czas. Zmagania zawodników były bardzo emocjonujące, gdyż walczyli ze sobą prawdziwi mistrzowie. Najgroźniejszym rywalem Jacka Truszkowskiego, który złożył kostkę w czasie 29,3 sek. był Węgier, Janos Hajnal, student WAT, osiągający czas 31 sekund.

Jakże wielkie jednak było zaskoczenie kibiców i zawodników, gdy prowadzący mistrzostwa ogłosił, że w kolejnej rundzie czas 28,5 sek. w układaniu kostki osiągnął Piotr Serbeński. Chociaż Jacek i Janos mieli jeszcze dwie próby, nie udało się im zejść poniżej czasu Piotra. W rezultacie mistrzem Warszawy w układaniu kostki Rubika został 17-letni Piotr Serbeński. (mi)

Od lewej: zwycięzca Piotr Serbeński, Jacek Truszkowski i najmłodszy uczestnik zawodów Michał Niewiadomski Fot. Maryla Zieleniewska

Więcej ubrań dla dzieci – dodatkowy dochód na

„DAR MŁODZIEŻY"

TORUŃ (PAP). Młodzieżowa załoga zakładów przemysłu odzieżowego „Torpo" w Toruniu – 80 członkiń Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej – „wykupiła" w swej fabryce odpadowe materiały i podjęła po godzinach normalnej pracy dodatkową produkcję ubranek dla dzieci. Ok. 150 par spodenek wykonano do końca kwietnia i po przystępnych cenach sprzedawano na kiermaszu handlowym w dniu 1 maja.

Dochód ze sprzedaży pierwszej partii tej dodatkowej produkcji dziewczęta mają zamiar przeznaczyć na fundusz budowy „Daru Młodzieży". W miarę rozszerzania tej użytecznej produkcji z odpadów, rynek otrzymywać będzie różne wyroby dziecięce, a pozyskane tym sposobem środki wzbogacą fundusz akcji socjalnej.

Mało nas do pieczenia chleba

Pan Henryk Gutkowski prowadzi piekarnię, w której pracują 43 osoby, wliczając w to uczniów. Przy piekarni jest nieduży sklepik, zaopatrujący mieszkańców Woli w znakomite, świeże i chrupkie pieczywo. Na półkach, jak rzadko gdzie, leżą bułki pszenne: „małgorzatki", obwarzanki, parki, paluszki, oraz chleb sitkowy i pszenny. Jeden z klientów stwierdza, że gdyby takie pieczywo było wszędzie, bylibyśmy o wiele zdrowsi. A zwracając się do pana Gutkowskiego powiada: jak pan to robi, że pana chleb jest taki smaczny, wszyscy piekarze powinni się uczyć od pana.

– Nie ma żadnej tajemnicy dobrego pieczywa, po prostu należy przestrzegać receptur – odpowiada pan Gutkowski. – Nie będę ukrywał, że doświadczenie też robi swoje, a moja praktyka w piekarnictwie trwa już 62 lata.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Fot. **Marek Szymański**

Czy harcerska „Akcja Staszic" nie upadnie? Czy młodzi ludzie w mundurach pojawią się i w tym roku wśród zabytkowych obiektów Zagłębia Staropolskiego w Sielpi na ziemi kieleckiej? Kilka tygodni temu uzyskaliśmy aktualną odpowiedź: będzie akcja. Będzie nie tylko dlatego, że dotąd była pożyteczna i potrzebna, a chętnych do udziału nie brakowało. Tym razem harcerze mają tu szansę zrobić jeszcze więcej. Krótko mówiąc – sprawić...

BY ZABYTEK STAŁ SIĘ ŻYWY

Nim wyjaśnimy, o jaki dokładnie zabytek chodzi i co mają zrobić harcerze dla jego ratowania, sięgnijmy do wspomnień...

CIĄG DALSZY NA STR.3

REPORTER Świata Młodych

Bez pracy nie ma kołaczy

CHODZI O NASZ BYT

Przy wystawianiu opinii o człowieku – uczniu czy osoby starszej – nie omija się zwykle jego stosunku do pracy. Jak do niej podchodzi, czym ona dla niego jest, co go z nią łączy, co mu daje. Nic w tym dziwnego. Praca, to przecież (wg słownika j. polskiego) działalność człowieka zmierzająca do wytworzenia określonych dóbr materialnych lub kulturalnych, będąca podstawą i warunkiem istnienia rozwoju społeczeństwa.

Z pracą każdy z nas, bez wyjątku, spotyka się na co dzień. Jest wszędzie potrzebna i niezbędna, ważne tylko – jak jest wykonywana. A to zależy już wyłącznie od nas. Wynik pracy w 100% jest przecież efektem wkładu i przemyślanego działania. Powiedzenie o kołaczach nie powstało dziś, wzięło się ono już przed laty, gdyż efektywnego działania potrzeba było i w tamtych czasach.

Pracy nie można lekceważyć. Jak napisał znany pedagog i przyrodnik Wojciech Jastrzębowski: „Kto się skarży na pracę, ten życia nie pojął. Ona jest dźwignią, którą się porusza wszystko. Spoczynek to śmierć, a praca to życie".

Jaka była praca w Polsce? Pytanie bardzo trudne, ale ważne dla każdego obywatela, który dla swojego narodu chciałby najlepiej. Co powoduje większą lub mniejszą wydajność pracy? Moim zdaniem dyscyplina, zapłata, przywiązanie do zakładu, czyli sprawy materialne i moralne. Dodałbym do tego również atmosferę wytwarzaną wokół pracowników. Jeżeli pracujący wyczuwa, że organizacja jest bezbłędna – zrozumie, że reszta zależy od niego i będzie dawał z siebie wszystko. Jeżeli jest inaczej, jego dobre chęci rozpłyną się. Wtedy i zakład, i pracownicy zejdą na manowce.

Jak u nas było dotychczas? Czy wymienione wyżej czynniki były rzetelnie opracowane i znajdowały się w każdym zakładzie pracy? Czy organizacja, zarządzanie było takie, jakie być powinno? Czy dyrektor zakładu wiedział, co zakład w ogóle produkował, podczas gdy on całe dni przesiedział na bezsensownych naradach powtarzających w kółko to samo: plan wykonaliśmy z nadwyżką. No, a jak wyglądała atmosfera wokół pracy? Marnotrawstwa nie zlikwidowaliśmy prawie wcale, a jak już, to w znikomym procencie. Jeszcze 3 lata temu było wiadomo, że praca będzie czekać na ludzi, że nie będzie trzeba przerzucać robotników z jednego zakładu do drugiego. Ludzi trudno bowiem przerzucać jak piłeczki, bo nie trafią wtedy do odpowiedniej siatki. Zaczęto likwidować miejsca pracy zwalniając pracowników. Proponowane im posady niejednokrotnie nie odpowiadają kwalifikacjom i wykształceniu tych osób. Możliwości przekwalifikowania się mamy wprawdzie bardzo dużo w kraju. Rocznie ponad 1 mln ludzie może być przeszkolonych, lecz cóż z tego, jeśli potem znów zadadzą sobie pytanie: a co teraz? Gdzie mają pracować osoby przekwalifikowane, jeśli nawet coraz trudniej sobie poradzić z zatrudnieniem absolwentów wyższych uczelni... Wielu ludzi myśli o emigracji... Jest to zjawisko stare, które jednak wciąż się odnawia. Również obecnie posiada ono ogromne rozmiary. Z wielkiej wspólnoty zjednoczonej jedną historią i tradycjami, odchodzi człowiek, bo klimat ojczyzny mu nie sprzyja. Za granicą natomiast, gdy znajduje pracę, stara się pokazać w niej jak najlepiej. Wszyscy są zachwyceni Polakami za dobre wykonywanie obowiązków, za dotrzymanie terminów, gdzieś tam, ale nie w kraju!

Polacy na emigracji pracują, bo wiedzą, że im solidnie płacą, że nikt im normy nie podniesie! Wprawdzie z tą solidną płacą to jest różnie, czasem w stosunku do pracownika jest to wręcz ubliżające. Ale cóż, Polak się nie obrazi bo wie, że pracuje za granicą! Czy to brak honoru? Nie, to brak sentymentów do kraju i do rodaków, którzy w oczach zagranicy tracą przez to wiele. Powyższy przykład nie odnosi się przecież do wszystkich. Istnieje jeszcze w narodzie wielka rezerwa. Istnieje w Polakach czynnik psychiczny, czyli przekonanie, że pracować warto, że od pracy zależy nasz byt.

Podsumowując – stwierdzam, że Polacy potrafią pracować, ale wprzód ich tego trzeba nauczyć, potem dać szansę, a na koniec stworzyć odpowiednie warunki. A te warunki są uzależnione od dyrektorów, ministerstw, rządu. Robotnik będzie dobrze pracował, gdy będzie wiedział dla kogo pracuje, że dobrze mu zapłacą i że nie wisi nad nim groźba zwolnienia.

PAWEŁ WALEWSKI
Członek Ligi Reporterów

TYLKO DLA PIENIĘDZY?

Mój ojciec jest górnikiem kombajnistą. Praca jego należy do najcięższych i najniebezpieczniejszych. Pracuje już ponad 27 lat. Nie ustrzegł się również przed wypadkiem. Miał potłuczoną klatkę piersiową i prawą stronę twarzy. Na szczęście żadnych złamań nie było. W czasie leczenia nudziło mu się. Uczył mnie w tym czasie pierwszych liter. Po wyleczeniu wrócił do pracy. Tak doczekał obecnych czasów; nie uznaje żadnych wolnych sobót. Jak trzeba chodzi do pracy również w niedzielę.

Często zastanawiam się, co skłoniło go do podjęcia tej pracy. Myślę, że podobnie jak innych zafascynowała go właśnie **praca**. Słyszałam kiedyś rozmowę w autobusie. Padły tam stwierdzenia, że górnicy i ich rodziny żyją wspaniale, budują sobie domki i w ogóle żyją jak w niebie. Jak można pleść takie bzdury? Komu chciałoby się żyć w takich warunkach tylko dla pieniędzy?! Jeżeli ktoś nie wierzy, to mogę przytoczyć trochę przykładów. Wszyscy wiemy, jak to zdrowo i przyjemnie wywietrzyć pokój przed snem. Otwiera więc człowiek okno i... zielenieje przy pierwszym powiewie. Za każdym tego typu „przedsięwzięciem" trzeba wziąć szmatkę, pięknie ją pomoczyć i wymyć parapet. Cóż, sadze wciskają się wszędzie. Jeżeli jesteśmy już przy tych oknach, to trzeba dodać, że jeżeli chciałoby się oglądać ten i tak szary świat w jego „normalnych" barwach, to trzeba by szyby myć co najmniej raz na dwa tygodnie.

Teraz wyobraźmy sobie, że chce człowiek iść na randkę i ma ochotę wybrać się na długi spacer. Oto co go czeka: po pierwsze nie ma dokąd iść, no chyba, że w pobliże torów kolejowych, lub do parku, gdzie trawników praktycznie nie ma, a w podobnym stanie są drzewa. Po drugie – przypuśćmy, że włożę jasną sukienkę, wtedy klapa! Muszę chodzić ostrożnie, aby w żadnym wypadku nie otrzeć się o coś, nie mogę nigdzie usiąść, no chyba, że chciałabym mieć sukienkę w czarne paćki. Gdziekolwiek się spojrzy, tam tylko szarość, szarość, szarość.

Myślę, że przekonałam tych, którzy twierdzili, że człowiek pracuje tu tylko dla pieniędzy. Mimo tego wszystkiego ludzie tutaj żyją, pracują i czekają na polepszenie warunków. Ja jestem jedną z nich. Takie życie do niczego dobrego mnie nie doprowadzi, co najwyżej do tego, że już za jakiś czas nie będę mogła oddychać świeżym powietrzem, będzie to dla mnie coś dziwnego. Właśnie dlatego nie mogę tak dalej żyć i czekać z założonymi rękami, aż ktoś w końcu coś wymyśli. **Ja jako harcerka i uczennica klasy o profilu biologiczno-chemicznym wzywam wszystkich podobnych do mnie, aby uczestniczyli czynnie w naszym życiu na terenie całego Śląska. Zacznijmy sadzić nowe trawniki, krzewy, drzewa, kolorowe kwiaty. Dbajmy o zieleń i bezmyślnie jej nie niszczmy. Pamiętajmy o tym, że depcząc nasze trawniki niszczymy swoje płuca. Myślę, że jeżeli my – młodzież zadbamy jeszcze o czystość ulic, o uzupełnienie koszy to i tak będziemy mieli dużo roboty. Może przy okazji zabiorą się do roboty inni? Może ci, którzy zajmują się ochroną środowiska wreszcie skutecznie zaczną myśleć i działać? Wszystko po to, aby żyło się nam dobrze, a przede wszystkim zdrowo. Trzeba również zacząć myśleć o tych, którzy chcą pracować i żyć tutaj. Często są to młode małżeństwa z małymi dziećmi. Czyżby i te maluchy miały przyzwyczajać się do tego wstrętnego powietrza?**

Aśka „Czako"
Zabrze

WIEM CO TO ZNACZY

Mieszkam na wsi i wiem, co znaczy słowo „praca". W domu jest nas siedmioro, ale tak naprawdę, to pracuje tylko dwoje: mama i tatuś. My też pracujemy, pomagamy w wolnych chwilach, ale siostry uczą się, bracia też, ja chodzę do VIII klasy szkoły podstawowej. U nas swoje obowiązki każdy zna. Prawie zawsze rano tatuś mówi, co każdy ma zrobić. Wykonujemy to bez szemrania, bo wiemy, że oni dla nas to wszystko robią. Tatuś nigdy nie narzeka ani na nas, ani na słabe plony. Prace muszą być wykonane na czas, jest taka zasada „nie trzeba nigdy zaczynać pierwszy i nigdy nie kończyć ostatni" (np. wykopki, żniwa). W domu nie mam najlepiej, ale nie narzekam. Nasz dorobek nie jest duży, nie mamy samochodu ani nawet traktora, za to w domu są meble, telewizor, radio, a bez pracy nie byłoby tego.

Kiedyś, czekając w kolejce do lekarza w ośrodku zdrowia, usłyszałam jak jedna pani powiedziała, że w Polsce to pracuje chłop i robotnik i nikt więcej. Wieczorem w domu opowiedziałam to, powiedziałam też, że ja myślę inaczej, bo przecież lekarze, nauczyciele to nie są robotnicy, tylko inteligencja, a oni też pracują.

Niedaleko jest pole PGR-u. Ostatnio było zasiane tam żyto. Ale o to pole PGR-u nikt nie dba. Przy drodze żyta w ogóle latem nie koszono, bo było z trawą i bardzo niskie. To prawda, że to pewna korzyść dla rolników, bo mieli gdzie paść bydło, ale czy tak w prawdziwym PGR-ze powinno być?

Elżbieta

REDAKCYJNA POCZTA

Wybacz mu, Alu, ten jeden pocałunek

Chciałaś, Alu – autorko listu pt. „Jak potraktować pocałunek dla kawału" – usłyszeć nasze opinie, przeczytać wypowiedzi. Ja mogę się wypowiedzieć tylko za siebie. Chodzę także do ósmej klasy. Mówią w szkole, że jestem niezły „Agent" ale to wcale nie jest tak. Chodziłem z dziewczyną kilka miesięcy. Wiesz dlaczego ją utraciłem? – bo raz ją objąłem. Dosłownie nic więcej. Teraz nie jestem w rozterce, ale na początku sporo wycierpiałem. Nie chcę Ci Alu nic sugerować, ale pomyśl, że ten chłopak może jest naprawdę w rozpaczy i bardzo żałuje tego, co zrobił. Na pewno chciał się popisać, zaimponować kolegom. Wybacz mu to i przyjmij przeprosiny.

„Agent"

Nasza przyjaźń jest prawdziwa i bezinteresowna

Od zeszłego roku szkolnego przyjaźnię się z Ireną. Chodzimy do równoległych ósmych klas, ona do „c", ja do „a". Pech chciał, że wychowawczynią klasy „c" jest moja mama. Zaczęły się różne podejrzenia co do naszej przyjaźni. Do tej pory działo się to wszystko poza naszymi plecami. Dzisiaj wyszło na jaw. Dziewczyny wygarnęły Irenie, co o niej myślą i powiedziały, że jest „kapusiem". Do mojej mamy dotarła pewna tajemnica klasowa, ale nie był to donos Ireny. Rozmowa i potwierdzenie mamy niewiele zdziałały. Irena jest gnębiona przez koleżanki. Niesłuszne posądzenia załamały ją zupełnie. Nie ma sił ani ochoty bronić się i tłumaczyć. Dziewczęta z klasy „c" są naiwne skoro myślą, że przyjaźń można kupić. Chyba nigdy się nie przyjaźniły prawdziwie. Co o tym sądzicie?

Aśka

Pomóżcie nam się poprawić

W naszej siódmej klasie jest osiemnaście osób. Mamy bardzo dobrą wychowawczynię, ale co z tego. Klasa ma, niestety, najgorszą opinię w całej szkole, zarówno pod względem nauki, jak i zachowania. Ja szczególnie przejmuję się tym wszystkim, bo przypadło mi w udziale być przewodniczącą owej klasy. Jeżeli wygłoszę swoim koleżankom i kolegom kazanie, że aby mieć lepsze stopnie, należy zabrać się do nauki i poprawić zachowanie, będą to tylko puste słowa. Nam potrzebne są jakieś konkretne rady. Może zorganizować kółka wspólnej nauki? Nie wiem, czy to zdałoby egzamin. Myślę, że niejedna klasa była w takich tarapatach jak nasza i zdołała „wylizać" się z nich. Podpowiedzcie nam skuteczne sposoby. Bardzo czekamy.

Agnieszka i reszta

Biuro POD działa

Odstąpię: podręczniki do fizyki dla kl. VII i VIII, do chemii dla kl. VIII, geografii dla kl. VII i VIII; języka polskiego dla kl. VII; wychowania plastycznego dla kl. VI, matematyki dla kl. VI.

Ponadto posiadam do odstąpienia SŁOWNIK POLSKO-ANGIELSKI i ANGIELSKO-POLSKI oraz słownik POLSKO-NIEMIECKI i NIEMIECKO-POLSKI.

Andrzej Zakrzewski
Oś. Spółdzielcze 1/3
31-943 Kraków–Nowa Huta

SPOTKANIA

Zbuntuj się!

Tak. To nie jest pomyłka. W dniach, w których mimo stanu wojennego liczy się z ulgą dni społecznego pokoju, ja chcę namówić wszystkich do buntu. Nie ma on mieć nic wspólnego ze strajkami, jakie nie tak dawno miały miejsce nawet w szkołach. Ja chcę namówić do buntu innego. Do buntu przeciwko sobie samemu. Przeciwko swojemu lenistwu, wygodnictwu, brakowi zainteresowań, ogólnej nijakości.

Czym różni się Tomek, który – choć ma lat piętnaście – od kilku interesuje się entomologią czyli nauką o owadach i z nią wiąże swoje dalsze studia i przyszły zawód, od Pawła, który chce zostać plastykiem, bo lubi (i nawet umie) rysować portrety gwiazd estrady, czy od Artura, który do tej pory nie zastanawiał się w ogóle nie tylko nad tym, do jakiej szkoły ma się wybrać już za miesiąc, ale nie potrafi sobie nawet odpowiedzieć na pytanie, co go naprawdę interesuje i co po prostu – może poza spacerami z psem – lubi robić?

Czym różni się Marysia, która – choć jest dopiero w siódmej klasie – wygrywa ze swoimi starszymi koleżankami konkurs polonistyczny, bo góruje nad nimi oczytaniem i znajomością własnego języka, od Iwony, która nawet nad młodszymi potrafi górować wyłącznie jakością i ekstrawagancją swego stroju, czy od Kaśki, która w ankiecie stwierdza, że chciałaby po prostu zostać... milionerką?

Czy Paweł i Artur, czy Iwona i Kaśka nie powinni się w końcu zbuntować przeciwko własnej chęci nicnierobienia, pozbawionym obowiązków wygodom, jakie im stwarzają rodzice, zainteresowaniom leżącym wyłącznie w kręgu dyskotekowej muzyki i mody, przeciwko temu, że coraz bardziej stają się nikim? Nie chodzi mi tu bynajmniej o to, by wszyscy oni stali się nagle dobrymi, nie sprawiającymi kłopotów uczniami. Nie to jest dla mnie przeciwieństwem nijakości.

Na zachowanie Marcina skarżą się wszyscy nauczyciele, grozi mu kilka dwójek, ale o tajemnicach „trójkąta bermudzkiego" czy niezidentyfikowanych obiektach latających potrafi rozprawiać bez końca i znajomością rzeczy zapędzi w róg niejednego dorosłego. Nie pochwalam słabości Marcina, ale jestem pełen podziwu dla tego, co stanowi jego siłę.

Słuchałem kiedyś wspomnień szkolnego kolegi, słynnego polskiego żeglarza Leonida Teligi, ucznia ponoć przeciętnego. Kolega ów powiedział: my pracowaliśmy na trójczynę z geografii, a Lolek zbierał książki i atlasy, i mówił – trzeba wypłynąć w świat. I w wiele lat później wypłynął, buntując się przeciwko trudnościom i przeciwnościom oraz temu, że taki rejs dookoła świata nie udał się jeszcze żadnemu Polakowi, żadnemu Słowianinowi. Sądzę, że buntował się również przeciwko tym, którzy jego wyczyn uznawali za niemożliwy.

Bo czasami trzeba też buntować się przeciwko innym. Przeciwko rówieśnikom – co łatwiejsze – którzy chcą nam narzucić swój pusty styl życia, przeciwko dorosłym – co trudniejsze – którzy czasami zapominają, że mimo swoich nastu lat jest się żywym partnerem, a nie tylko podlegającym obróbce przedmiotem. A tak właśnie poczuł się potraktowany chłopak, uczeń szkoły zawodowej w niewielkiej miejscowości, który napisał do mnie z goryczą o takim przypadku.

Jest mieszkańcem internatu. Wraz z innymi chciał skorzystać z występów gościnnych teatru i obejrzeć dwa prezentowane przezeń spektakle. Sęk w tym, że na pierwszy chłopcy wybrali się w towarzystwie swych szkolnych koleżanek, co tak zbulwersowało kierowniczkę internatu, że ta chcąc wpłynąć umoralniająco na swoich podopiecznych – nie pozwoliła im tym razem pozostać w internacie na wolną sobotę i tym samym praktycznie uniemożliwiła obejrzenie drugiego spektaklu, choć bilety nań były już wcześniej zakupione.

Mój korespondent oczekuje ode mnie rady, czym wprawia mnie w pewne zakłopotanie. Z jednej strony chciałbym bowiem za tytułowym hasłem naszej dzisiejszej rozmowy powtórzyć mu: zbuntuj się! Z drugiej – wiem, że ja daleko, a pani kierowniczka blisko i nawet powołanie się na słowo drukowane może nie na wiele się przydać. I tak nadawca listu obawia się o sytuację swojej koleżanki, z którą był w teatrze, bo przed nią jeszcze kilka lat szkoły, a – jak pisze – mam się sam domyślić, w jaki sposób zarzuty kierowniczki internatu mogą wykorzystać „gorliwe" nauczycielki. Przykre to, ale wiem. I mogę tylko wierzyć, że nie wykorzystają one swojej „przewagi".

Sztuką, której nie udało się obejrzeć memu korespondentowi, był „Most" Szaniawskiego. W innej sztuce tego autora występują chłopcy „z rodu tych, co idą z motyką na słońce".

Z rodu tych, którzy walczą, buntują się. Ja trzymam zawsze z takimi. Więc mimo opisanych przeciwności losu powtarzam tytułowe hasło: zbuntuj się!

Jarek

Po VIII Plenum KC PZPR

Przywrócić porządek w polskiej gospodarce

Drugie od czasu wprowadzenia stanu wojennego posiedzenie plenarne Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej po dwudniowych obradach zakończyło się 23 kwietnia br. Podstawą do dyskusji, która pierwszego dnia toczyła się w zespołach problemowych, drugiego zaś w trybie plenarnym stały się dwa referaty. Wygłosili je: zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC Marian Woźniak i wiceprezes Rady Ministrów Janusz Obodowski. Słowo końcowe wygłosił pierwszy sekretarz KC PZPR Wojciech Jaruzelski.

Czemu poświęcone były te tak intensywne obrady, w trakcie których wypowiedziało się ogółem 157 osób? Przede wszystkim poprawie bytu materialnego narodu – przy założeniu, że w każdej działalności gospodarczej niezmiernie ważna jest sfera ludzkich postaw, motywacji ideowych, od dawna stanowiących przedmiot szczególnej uwagi partii. Plenum przyniosło wiele ciekawych i pożytecznych wniosków, wyłonionych często z głosów krytycznych czy polemicznych. Jak zresztą powiedział generał Jaruzelski krytycyzm w sprawach tak żywotnych jak gospodarka, wymagająca spojrzenia wnikliwego i wielostronnego, był tu szczególnie na czasie.

Uchwała VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR stwierdza na wstępie, że wprowadzenie stanu wojennego otworzyło drogę do normalizacji życia gospodarczego. Podstawą częściowego ożywienia przemysłu stało się przede wszystkim zwiększone wydobycie węgla i innych surowców. Zapoczątkowany został proces przywracania równowagi pieniężno-rynkowej, zaznaczył się postęp w handlu zagranicznym. Pokonywanie trudności, w jakich znalazł się kraj postępuje jednak zbyt wolno. Dwanaście punktów uchwały określa kierunki i sposoby wyjścia z dotychczasowego kryzysu. Komitet Centralny uznaje rządowy „Program przezwyciężania kryzysu" za właściwą wytyczną do kontynuowania działań antykryzysowych, zalecając jednocześnie podjęcie wszelkich możliwych kroków dla skrócenia okresu przywracania równowagi gospodarczej. Kierownictwa i kolektywy pracownicze opracowywać będą własne programy pokonywania trudności. Przedstawione one zostaną do końca czerwca. Do tego czasu zadaniem organizacji partyjnych jest przygotowanie wspólnie z dyrekcją oraz społecznymi komisjami działającymi w przedsiębiorstwach, warunków politycznych dla powołania organów samorządowych, zaproponowanie do nich najlepszych i odpowiedzialnych pracowników przedsiębiorstwa.

Na obecnym etapie wdrażania reformy w przedsiębiorstwach najistotniejsze znaczenie powinno posiadać:

– rozwinięcie szerokiej edukacji ekonomicznej wśród załóg związanych z przejściem na zasadę samofinansowania swojej działalności gospodarczej, zwłaszcza w zakresie wynagradzania pracowników i przedsięwzięć rozwojowych;

– racjonalne wykorzystanie zasobów pracy, dostosowanie rozmiarów i struktury zatrudnienia w każdym przedsiębiorstwie do potrzeb produkcyjnych; partia czuwać będzie, aby związany z tym proces przemieszczeń następował zgodnie z zasadami sprawiedliwości społecznej;

– przystąpienie przedsiębiorstw do opracowania własnych systemów motywacyjnych po wydaniu przez rząd uchwały o modyfikacji zasad wynagradzania na 1982 rok; sprzyjać to będzie wzrostowi wydajności pracy oraz oszczędności surowców, paliw, materiałów i energii.

Komitet Centralny uważa, że konieczne jest przystosowanie działalności zaplecza naukowo-badawczego przemysłu do zadań wynikających z aktualnej sytuacji gospodarczej, a także do nowych finansowych zasad jego funkcjonowania. Przy pomocy rzeczoznawców NOT powinien być dokonany przegląd zakończonych prac naukowo-badawczych, oceniający je przede wszystkim pod kątem możliwości wdrożenia do praktyki gospodarczej.

Zadaniem organizacji partyjnych jest tworzenie politycznego klimatu sprzyjającego zacieśnieniu współpracy produkcyjnej i naukowo-technicznej między przedsiębiorstwami krajów RWPG, a w szczególności pogłębianiu kooperacji oraz wykorzystaniu wolnych mocy produkcyjnych. Komitet Centralny zaleca poświęcenie należytej uwagi współpracy gospodarczej z krajami rozwijającymi się. Celowa jest także dalsza współpraca gospodarcza z krajami zachodnimi na zasadach wzajemnych korzyści i niemieszania się w sprawy wewnętrzne partnerów.

Komitet Centralny podkreśla szczególne znaczenie działań służących szybszemu i szerszemu przestawianiu przemysłu na zaspokojenie potrzeb produkcyjnych rolnictwa i gospodarki żywnościowej, głównie w zakresie maszyn i sprzętu rolniczego, produktów chemicznych oraz materiałów budowlanych. Organizacje partyjne w zakładach przemysłowych powinny energicznie wspierać te działania.

Niezwykle palącą kwestią społeczną jest przyspieszenie rozwoju budownictwa mieszkaniowego w mieście i na wsi. Podkreślono też konieczność racjonalnego zagospodarowania odzyskiwanej powierzchni mieszkaniowej, a w przydziale mieszkań przestrzegania zasad sprawiedliwości, której warunkiem koniecznym jest jawność i otwartość przydziału. Szczególną opieką winni być otoczeni ludzie najbiedniejsi, dla których program przewiduje uzyskanie mieszkań w systemie budownictwa komunalnego.

W polityce socjalnej zdecydowano się wysunąć na czoło zaspokojenie tych potrzeb, które warunkują przetrwanie najtrudniejszego okresu przez grupy ludności o najniższych dochodach, będące w najcięższej sytuacji materialnej.

Komitet Centralny zaakceptował stanowisko Biura Politycznego w sprawie konieczności przyspieszenia prac nad ustawą o powszechnym systemie emerytalnym, która oznaczać będzie m. in. sukcesywną likwidację tzw. starego portfela. Zobowiązał na koniec wydziały KC aby wspólnie rozpatrzyły wszystkie wnioski zgłoszone w dyskusji plenarnej oraz w zespołach problemowych. Informacja o realizacji tych wniosków zostanie przedstawiona Komitetowi Centralnemu w końcu br.

MAREK ZARĘBSKI

BY ZABYTEK STAŁ SIĘ ŻYWY

CIĄG DALSZY ZE STR.1

W latach siedemdziesiątych szczepu imienia Staszica w szkole zawodowej przy kopalni „Bobrek" w Bytomiu postanowił rozpocząć akcję, która by pozwoliła harcerzom za jednym zamachem wygrać: możliwość wyjazdu z zadymionego Śląska na prawdziwy obóz i zarazem udział harcerzy w jakiejś pożytecznej i atrakcyjnej robocie, wiążącej się z przyszłym zawodem, no i – po prostu choć trochę kształcącej. Wybór padł na starą walcownię w Sielpi, najcenniejszy chyba obiekt hutniczego Zagłębia Staropolskiego, dziś zabytek techniczny dużej klasy, zarazem będący filią warszawskiego Muzeum Techniki. Atmosfera, jaką stwarza ten obiekt, jest jedyna w swoim rodzaju, a że wokół zbiorniki wodne i lasy na obóz miejsce wymarzone. Poza tym – mocno się wiąże z osobą Stanisława Staszica.

Znajdujące się tu urządzenia i budowle wymagały prac porządkowych i konserwatorskich, których sporą część harcerze mogli śmiało wziąć w swe ręce. No, i wzięli. Akcja była początkowo obliczona na 5 lat, ale aniśmy się obejrzeli, jak stuknęło jej siedem, a harcerze ciągle są potrzebni.

Zarówno przedstawiciele szczepu, jak i Muzeum Techniki twierdzą zgodnie, że praca tutaj ma duże znaczenie wychowawcze. Zwłaszcza że w obozach biorą często udział młodzi ludzie, pochodzący z rozbitych rodzin, nieraz wychowawczo trudni nieraz mający – jak powiadają przedstawiciele szczepu – awersję do nauki. Udział w akcji pozwala zaś uczyć się bezboleśnie, uciec nieco od szkolnych kanonów. Niemniej wiedza się tu liczy i to już na etapie rekrutacji na obóz. Tzw. sesje staszicowskie – efekt całorocznej pracy w szczepie – wymagają przygotowania np. referatów związanych nie tylko z postacią Staszica, ale z dziejami górnictwa i hutnictwa, zebrania związanych z tym materiałów. Wynik decyduje o kwalifikacji na obóz. Liczą się też umiejętności zawodowe. Później, już w Sielpi, nie brak też okazji do poszerzenia wiadomości. Są pogadanki, instruktaże. Prowadzi je m.in. pan Tadeusz Lipowski, pracownik filii Muzeum. Wywodzi się zresztą z tych stron, a jego ojciec przepracował w Sielpi, gdy zakład był jeszcze czynny, 49 lat..

Wiedza – to jedno. No, a czego konkretnie dokonali dotąd harcerze w Sielpi? **Odnowili szereg zabytkowych maszyn**, w tym wszystkie zgromadzone na dziedzińcu maszyny drogowe, które wprawdzie nie wiążą się wprost z Zagłębiem, ale mają zabytkową wartość. **Zakonserwowali kilometrowe ogrodzenia**. W jednym z zabytkowych budynków **założyli kompleksową instalację elektryczną**. Trwało to trzy lata, ale wartość obiektu nie pozwalała na żadną łatwiznę. Do tego można dodać, **szereg innych prac porządkowych**, wykonanych zresztą nie tylko na terenie zabytkowych zakładów.

Tegoroczne propozycje pracy dla harcerzy (o akcji mawia się już „Staszic II") to: dokończenie ogrodzenia terenu, rozpoczętego w zeszłym roku, zakonserwowanie kolejnych 2–3 maszyn. No, i...

O PEWNYM KOLE, KTÓRE PRZESTAŁO SIĘ KRĘCIĆ

Koło, o którym tu mowa, poruszane przez wodę, służyło do napędu maszyn i młotów w starej walcowni. Dziś stanowi jeden z najcenniejszych zabytków techniki w Sielpi, a może i w całym kraju. Podczas obozów właśnie w pobliżu tego pomnika dawnej techniki odbywały się ogniska i capstrzyki. Niestety, ów pomnik jest zagrożony. Rzecz ma się mniej więcej tak...

Woda, poruszająca koło, po spełnieniu swego zadania musi gdzieś odpływać. Temu celowi służy specjalny kanał odprowadzający, tzw. roznos. Właściwie – służył. Póki zakład działał (1830–1921 r.), ciągły, wartki przepływ wody gwarantował drożność kanału, a co jakiś czas stawało z łopatami 20–30 chłopa i czyściło jego koryto. Później, gdy walcownia zakończyła pracę, zaniechano tego, a koło stanęło. Już jako zabytek – ruszyło wprawdzie koło 1962 roku, ale wkrótce znów stanęło na skutek zużycia panewek. Kanał zamulił się. Na dodatek – wysypano doń gruz, a miejscami jego nurt przegrodziły powalone sosny. W tych właśnie miejscach narosły najgrubsze warstwy mułu. Kanał począł zarastać szuwarami, wypłycał się coraz bardziej. Efekt? Lustro wody podniosło się, skutkiem czego dolna część zabytkowego koła stale jest pod wodą. Grozi to jego szybkim zniszczeniem.

Toteż trzecim punktem wśród propozycji pracy dla harcerzy jest oczyszczenie kanału.

DO KANAŁU NIE ZNACZY – W KANAŁ

Kiedy harcerze czy inni młodzi ludzie podejmują społecznie jakąś pracę, zwłaszcza ciężką, niekwalifikowaną – nasuwa się pytanie: czy oni powinni to robić? Czy nie należy to do wyspecjalizowanych przedsiębiorstw, które winny podjąć się tego za pieniądze? I czy w ogóle ich praca ma sens, skoro mogłyby ją wykonać uzbrojeni w sprzęt specjaliści. Czy w tym przypadku – wejście harcerzy do kanału nie będzie przysłowiowym... wpuszczeniem ich w kanał?

Choć są to w pełni zasadne wątpliwości, wypadnie chyba odpowiedzieć – nie. Przyjrzyjmy się bliżej tutejszej sytuacji.

Oczyszczenie kanału chciano zlecić przedsiębiorstwu melioracyjnemu z Końskich. Ale, niestety... Pogłębienie go przy pomocy koparki okazało się niemożliwe, oznaczałoby bowiem dewastację lasu na brzegach, które musiałyby zostać ogołocone z drzew. Ratowanie dawnej techniki odbyłoby się więc kosztem zniszczenia przyrody i krajobrazowego zubożenia tego zabytkowego miejsca. No, a czy nie można by bez koparek? W dyrekcji przedsiębiorstwa dopowiedziano: owszem, jeszcze piętnaście lat temu przyjęlibyśmy to do ręcznego przekopania. Dziś jednak nikt się już roboty bez sprzętu nie chce podjąć i nawet gdy trzeba gdzieś przekopać kilka mb niesprawnego kanału, koparka musi jechać kilkadziesiąt kilometrów.

Zatem – czego dorośli nie chcą zrobić, to zostawiają harcerzom? Niezupełnie. Ostateczny remont kanału i tak koniec końców muszą wykonać fachowcy. Harcerze mogą się za to podjąć roboty mniejszej, ale teraz szczególnie ważnej. Otóż – jak oceniają fachowcy – ręczne pogłębienie kanału tylko w kilku najbardziej wypłyconych miejscach (np. tam, gdzie leżą pnie drzew) może zapewnić spadek lustra wody o kilkadziesiąt centymetrów. Zbawiennych centymetrów, bo taki akurat spadek wystarczy, by koło wynurzyło się ze szkodliwej dlań kąpieli i zostało ocalone.

Harcerze odgrywają tu więc rolę pogotowia, które może zażegnać największe niebezpieczeństwo. To dużo lepsze i cenniejsze niż wykonywanie całej roboty za innych. Ich praca będzie przy tym autentycznie potrzebna; nie będzie to więc sianie przysłowiowej trawki, na którą i tak zaraz wjadą buldożery. Organizatorzy akcji przyjęli przy tym zasadę:

NIE ZA WSZELKĄ CENĘ

A więc z prac wyłączona zostaje ta część kanału, która biegnie pod ziemią. Nie ma też mowy o rozpoczęciu roboty bez odpowiednich ubiorów, a zwłaszcza długich butów rybackich. Z tymi butami mają niestety kłopot, bo są w handlu prawie nie do osiągnięcia. Udział w tej pracy nie będzie obowiązkowy i nikogo nie będzie się siłą naganiać do łopaty.

Nadto organizatorzy – pomimo trudności ze sprzętem i ogólnie znanych dziś kłopotów finansowych – chcą jak najatrakcyjniejszym uczynić cały program obozu. Zagłębie Staropolskie to nie tylko Sielpia, w tych stronach jest dużo więcej do zwiedzania. Zadba się więc o zorganizowanie wycieczek, biwaków i, przede wszystkim – o kompetentnych przewodników. W tej kwestii organizatorzy już się wstępnie porozumieli z dyrekcją Muzeum Techniki. Przy zwiedzaniu nie idzie bowiem tylko o napawanie się jedynym w swoim rodzaju nastrojem tych historycznych miejsc. Zagłębie Staropolskie jest ilustracją rozmachu, z jakim remontując tu stare zakłady i budując nowe podjęto w porozbiorowej Polsce program ekonomicznego postawienia jej na nogi. Zapoznanie się z nim w dzisiejszych, kryzysowych czasach może być wielce kształcące...

Wypady i biwaki mogą być też okazją, aby i poza Sielpią... zrobić to i owo. Bo, jak słyszę od opiekunów śląskich harcerzy – jest to młodzież, która czego jak czego, ale roboty się nie boi. Co mam nadzieję sprawdzić na miejscu między 1 a 21 lipca, bowiem „Świat Młodych" został na tegoroczny obóz zaproszony.

TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. **archiwum**

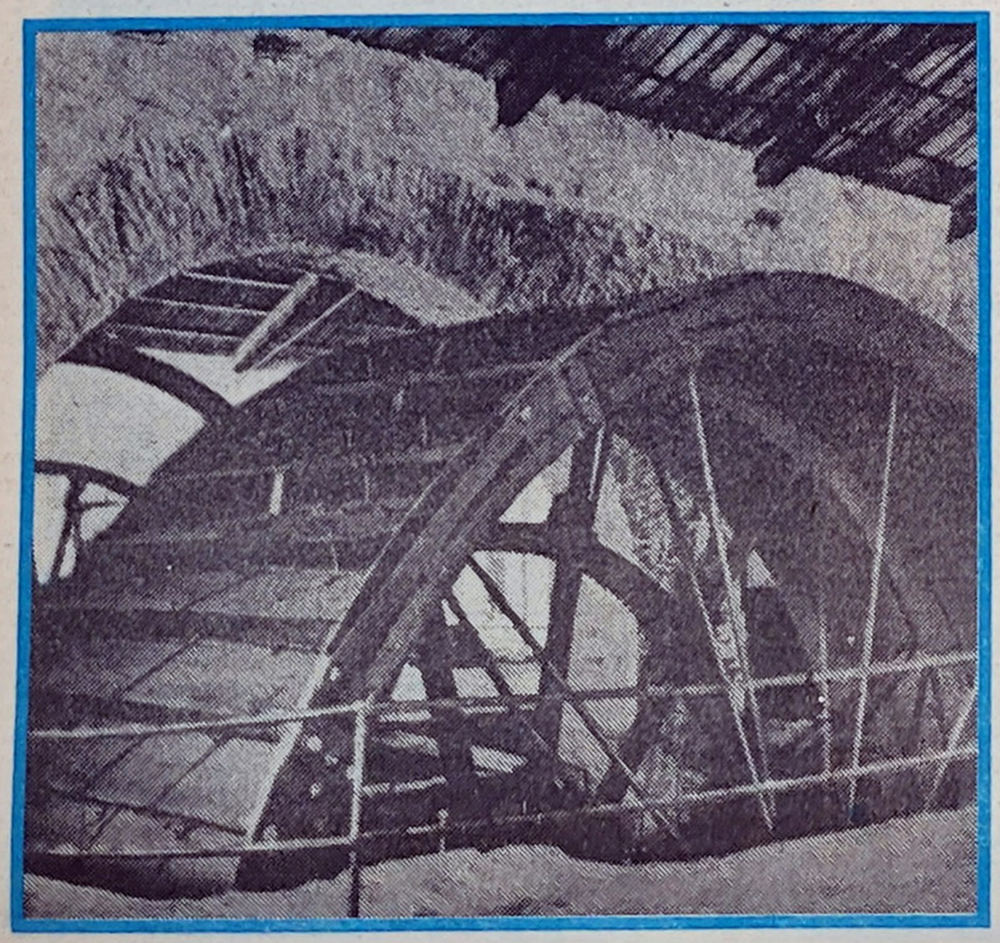

MAMY KANDYDATÓW NA IGRZYSKA

Prawidłowo ustawiona piramida

O szkole nr 8 w Oświęcimiu głośno dziś w sportowym światku za sprawą niebywałych wręcz sukcesów jej wychowanków, którzy na pływalniach i lodowiskach (nie tylko krajowych) zdobyli medale liczone w dziesiątkach i setkach. Nie sposób wymienić dziś choćby części osiągnięć uczniów z „ósemki". Sławny pisarz mawiał, że liczba w tekście może być błyskiem, ale ich nadmiar nuży. Poprzestańmy więc na przytoczeniu kilku ledwie faktów. Stamtąd wywodzi się jedna z najlepszych polskich pływaczek **Grażyna Dziedzicówna**, już absolwentka, brązowa medalistka mistrzostw Europy w Splicie (1981). Grażyna nie jest osamotniona, ponieważ w sporej grupie są i inni, wielce obiecujący zawodnicy, jak choćby **Zbyszek Olejnik. Aneta Chmelik**, czy siostry **Saternus**. Rekordzistów i mistrzów kraju jest zresztą więcej. Rzecz całą można podsumować krótko: „ósemka" nie ma sobie równych wśród szkół o tym profilu, a w uznaniu zasług Oświęcim już wkrótce doczeka się zapewne miana szkoły mistrzostwa sportowego.

– Wie pan w czym tkwi podstawa naszych osiągnięć? – pyta dyrektor **Stanisław Gajda**. – Stworzyliśmy prawidłowo ustawioną piramidę, bardzo szeroką u dołu. Zakładamy, że każde dziecko (ze wszystkich szkół w mieście) musi umieć pływać, choć oczywiście nie musi być wyczynowcem. Mamy piękną 50-metrową pływalnię, ale przeszkolenie rocznie około 800 dzieci nie jest sprawą łatwą. Dopiero później tych, którzy rokują nadzieje, zbieramy do nas. Dzięki tej masowości od pewnego czasu nie notujemy utonięć w groźnej rzece Sole...

Świetna kadra trenerska wyszukuje co zdolniejszych już w gronie najmłodszych. Prowadzone są badania lekarskie i antropologiczne, które z dużym prawdopodobieństwem pozwalają na określenie wzrostu dziecka za kilka lat. Ci najlepsi, już zgrupowani w „ósemce", wpadają w ostry reżim treningowy. Rozkład dnia wygląda mniej więcej tak: od 8 rano ponad 2-godzinny trening, potem śniadanie w szkole i lekcje. Po południu obiad i znów podobna dawka ćwiczeń. Chcąc osiągnąć wyniki trzeba pływać po 18-20 km dziennie! Wielki to wysiłek, a tu trzeba jeszcze myśleć o nauce. Rozwiązano i ten problem. Przy tak wielkim wysiłku nie sposób przecież uczyć się jeszcze w domu. Tam trzeba odpocząć. Stworzono kilku-

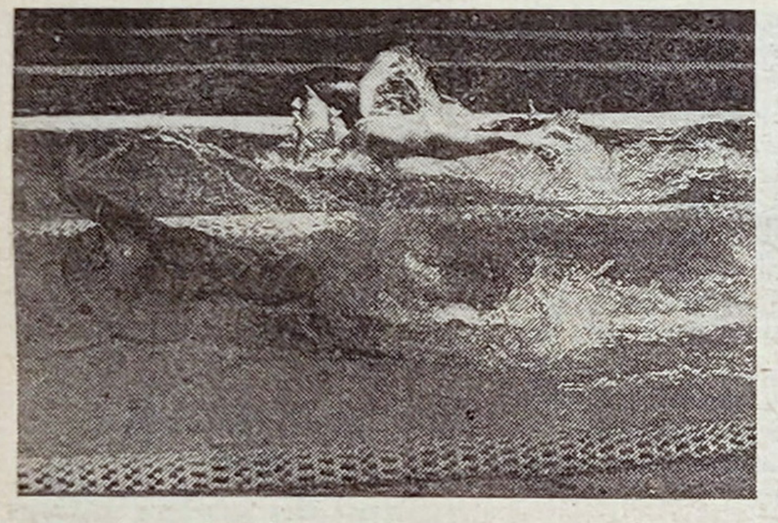

nastoosobowe klasy i lekcje są tak prowadzone, aby cały materiał opanować w szkole. Od niedawna do pływaków dołączyli łyżwiarze figurowi, którzy powiększają listę osiągnięć szkoły. Ale o tym później.

Niewielka sala tuż obok basenu. Chłopcy i dziewczęta ubrani w dresy leżą na podłodze. Bez ruchu, w absolutnej ciszy. Trener **Kazimierz Woźnicki** wyjaśnia, że jest to jeden z elementów treningu pływackiego. Ćwiczenia koncentracji w tej dyscyplinie są rzeczą niezykle istotną.

– Kiedyś trema zjadała moich podopiecznych – mówi trener. – Zdarzały się niedyspozycje żołądkowe, nerwy nie pozwalały na wykorzystanie pełni możliwości. Teraz, po stosowaniu treningu autogennego, który przed chwilą obserwowaliśmy, problemy te znikły. Zaraz zresztą będzie jego dalszy ciąg, tym razem Hatha-Yoga. Grażyna Dziedzicówna powiedziała po mistrzostwach Europy, że przed startem usłyszała tylko swoje nazwisko podczas prezentacji. Reszta dla niej nie istniała.

Nagrodą dla najlepszych są sukcesy, medale, a także możliwość zwiedzenia świata. Kiedyś pływacy byli w słynnym ośrodku w Font Romeau w Pirenejach. Wykorzystali czas maksymalnie, bo codziennie mieli ledwo półtorej godziny dla siebie. A tak tylko teren i woda. Jednak wygospodarowaliśmy trochę czasu na turystykę. Pojechali do Andorry...

Oświęcim posiada dwa wspaniałe obiekty sportowe, jakich zazdrości mu każde chyba miasto w Polsce. Wspaniały basen i piękne kryte lodowisko. Na tafli ruch. Ćwiczą pary sportowe, soliści i solistki pod okiem trenerki **Iwony Mydlarz**. Łyżwiarstwo figurowe jest jedną z trudniejszych dyscyplin, nie mającą w Polsce zresztą wielkich tradycji. Zawodników też mamy w sumie niewielu. Zresztą skąd ich brać, skoro w kraju działa ledwie 9 sekcji? Po ostatniej spartakiadzie młodzieży apetyty na dalsze sukcesy w Oświęcimiu wzrosły. Uczniowie z „ósemki" powygrywali w niej co się dało...

Ścisła współpraca szkoły z klubem „Unią" Oświęcim przynosi efekty. Mało tego, związki są tak silne, że jedni bez drugich nie mogliby istnieć. Oddajmy jeszcze raz głos dyrektowi.

– Sport w szkole zaczęliśmy rozkręcać 10 lat temu. Było trudno, nie zawsze potrafiliśmy sobie poradzić. Ale zdobywaliśmy doświadczenie, które procentuje dziś. Nie znaczy to, że problemów nie ma. Teraz po tylu latach, po wielu bezspornych sukcesach możemy powiedzieć jeszcze jedno: mamy kandydatów na igrzyska olimpijskie w Los Angeles. Wierzę, że nasi uczniowie tam pojadą i nie wrócą z pustymi rękami.

MAREK SUCHY

Fot. **M.Zieleniewska**

KUPON KONKURSOWY WYTNIJ ZACHOWAJ

10

OD „SOŁDKA" DO „DARU MŁODZIEŻY"

M/S „WOŁGOLES" – DREWNOWIEC (B-514)

17 marca 1959 r. położono stępkę pod specjalny motorowiec, pierwszy z szesnastu statków tego typu zamówionych przez Związek Radziecki, przeznaczony do przewozu drewna w warunkach arktycznych. Jego cztery ładownie były przystosowane od przewozu tak drewna, jak zboża i ładunków masowych. Wymagało to specjalnych rozwiązań konstrukcyjnych. Np. przewożenie drewna na pokładzie pociągało konieczność wzmocnienia konstrukcji pokładu, nadburcia i pokryw lukowych. Przewidziano również specjalne urządzenia do mocowania ładunku. Jednostka ze względu na charakter obsługiwanego rejonu miała wzmocnienia lodowe wzdłuż burt. Kształt części dziobowej, o mocno podciętej części podwodnej dziobnicy, pozwalał statkom na łamanie lodu i rozbijanie kry. Specjalna ostroga osłaniała trzon sterowy przed naporem lodu i kry. Napędową śrubę chroniły przed uszkodzeniem odbijacze lodu. Na drewnowcach B-514 (po raz pierwszy na statku budowanym w polskich stoczniach) zastosowano prąd zmienny. Jednostki wyposażono w trzy generatory na prąd zmienny o napędzie 380 V 50 Hz, samowzbudne, samoregulujące dwie prądnice po 250 kVA i jedną 100 kVA. Zastosowanie tego rodzaju prądnic umożliwia bezpośrednie podłączenie do źródła energii napędu mechanizmów z pominięciem wszelkich układów pomocniczych. Projekt jednostki B-514 opracował zespół pod kierownictwem głównego konstruktora mgr inż. Zbigniewa Ostrowskiego.

W dniu wodowania pierwszemu drewnowcowi nadano imię „Wołgoles". Statek oddano do eksploatacji 14.IX.1960 r.

Długość całkowita m/s „Wołgolesa" wynosi 123,88 m, szerokość – 16,17 m, zanurzenie – 7,00 m, nośność – 5900 DWT, pojemność – 4500 BRT. Moc silnika głównego – 4500 KM, prędkość – 15,5 węzła, zasięg pływania – 60000 mil morskich.

Fot. **W.Mroczek**

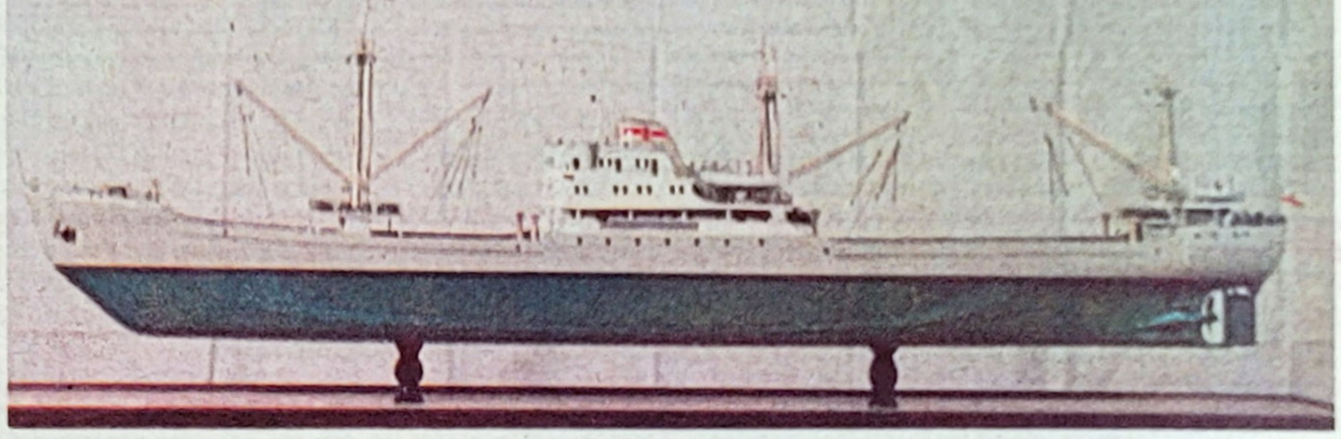

21

Szkocja

PECHOWA DRUŻYNA

Szkocki Związek Piłki Nożnej powstał w 1873 roku. Członek FIFA w latach 1910–20, 1924–28 i od roku 1946. Barwy reprezentacyjne – koszulki granatowe, spodenki białe, skarpety granatowe. osiągnięcia: cztery razy w MŚ. Adres: THE SCOTTISH FOOTBALL ASSOCIATION, 6 PARK GARDENS, GLASGOW G3 7YF.

Pechowo wiodło się Szkotom w mistrzostwach. W trzech pierwszych nie uczestniczyli na skutek zatargów z FIFA. Z czwartych, choć wygrali eliminacje, zrezygnowali. Po raz pierwszy wystąpili w Mundialu-1954, ale zajęli w swojej grupie ostatnie miejsce. Sytuacja powtórzyła się cztery lata później. Pech nie opuścił ich i na mistrzostwach w RFN. Grali tam wręcz znakomicie. Zremisowali z Brazylią i Jugosławią, pokonali Zair. A jednak dali się wyprzedzić Jugosłowianom i Brazylijczykom, którzy w meczach z Zairem uzyskali większą ilość celnych trafień. W Argentynie zaś sprawili ogromną niespodziankę ogrywając późniejszych wicemistrzów świata – zespół Holandii. Ale ulegli Peruwiańczykom, a następnie oddali punkt Iranowi i znowu znaleźli się za burtą Mundialu. Czyżby historia miała się powtórzyć i tym razem? Szkoci twierdzą, że do... pięciu razy sztuka.

Do tegorocznych mistrzostw awans wywalczyli w pięknym stylu. Wyraźnie, na długo przed końcem eliminacji, zapewnili sobie pierwszą lokatę w grupie, dystansując Irlandię Północną, Szwecję i Portugalię. Nie należy jednak przeceniać tego sukcesu, bowiem zdaniem fachowców była to najsłabsza grupa w eliminacjach strefy europejskiej. I pewne jest, że do Hiszpanii nie wyjadą w roli faworytów. Nie są też Kopciuszkiem imprezy. Trener JOCK STEIN potrafił stworzyć dość solidny zespół, grający według wzorów angielskich. Trudno się temu dziwić; wielu piłkarzy Szkocji gra w klubach Anglii. Ich własna liga nie jest mocna. Właściwie większą rolę na międzynarodowej arenie odgrywają tylko „Celtic" i „Rangers" – oba z Glasgow. Pisząc o zawodnikach trudno nie wspomnieć o przepełnionych temperamentem kibicach. Słynny stadion „Hampden Park" był świadkiem wielu incydentów, zwłaszcza wówczas, gdy przeciw Szkotom wybiegali na jego murawę... Anglicy. Mecze między tymi reprezentacjami stawiały w stan pogotowia pułki... policjantów.

Najsłynniejszym piłkarzem prezentowanej dziś drużyny jest chyba niestrudzony napastnik DALGLISH. Grał jeszcze w Mundialu – 1974. Z tej pechowej drużyny pozostał też obrońca Mc GRAIN. Obok nich wystąpi zapewne doskonały bramkarz ROUGH, pomocnik WARK, skrzydłowy ROBERTSON...

Grę Szkotów cechuje ogromne zaangażowanie. Walczą do kończącego mecz sygnału. I to bez względu na widniejący na tablicy rezultat. Ta pasja poparta jest wzorową kondycją, szybkością i techniką. Szkoda jednak, że te cechy nie idą w parze z fantazją i różnorodnością przeprowadzanych akcji, które w ich wykonaniu są raczej schematyczne.

(zp)

Fot. **archiwum**

Grę Szkotów cechuje ogromne zaangażowanie. Walczą zawsze do kończącego mecz sygnału

Mało nas do pieczenia chleba

CO DALEJ ÓSMA KLASO

Cech Rzemiosł Spożywczych zrzesza rzemieślników, którzy zajmują się, jak nietrudno się domyślić, produkcją artykułów spożywczych. Kierownik cechu pan Krzysztof Butrym mówi:

– W naszym cechu zrzeszeni są piekarze, cukiernicy oraz wędliniarze. Cukiernictwo i piekarnictwo to są zawody, do których ciągle potrzeba uczniów. W ostatnich czasach powstała wyjątkowo sprzyjająca atmosfera do otwierania prywatnych piekarń. Okazuje się, że pieczywo produkowane w małych zakładach jest najlepsze, najsmaczniejsze. Poszukujemy więc młodych ludzi, którzy chcieliby się uczyć zawodu piekarza.

– Jakie są warunki przyjmowania uczniów? – pytam pana Krzysztofa Butryma.

– Przyjmujemy uczniów po szkole podstawowej. Młodzież niepełnoletnia ma obowiązek uczęszczania trzy razy w tygodniu do Szkoły Zawodowej Przemysłu Spożywczego. Praktyki odbywa się oczywiście u mistrzów w zakładach piekarniczych. Taka praktyka u mistrza jest niezwykle cenna, ze względu na przygotowanie do zawodu. W małym zakładzie uczeń poznaje cały cykl produkcji pieczywa, czego niestety nie nauczy się nigdy w dużym zakładzie pracując przy taśmie. Nasi uczniowie wyzwalający się na czeladników, są znakomitymi fachowcami, pracę znajdą wszędzie. Proszę koniecznie odwiedzić Zakład Piekarniczy w Warszawie przy ul. Olbrachta, w którym u mistrza Gutkowskiego uczy się w tej chwili 7 uczniów. Tam najlepiej zapozna się pani z tajnikami sztuki piekarskiej oraz warunkami pracy i nauki zawodu.

To tylko część załogi. Poniżej nestor... i adept sztuki piekarniczej

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Do piekarni trafiłem przez przypadek. Jako zupełnie mały chłopiec straciłem matkę. Ojciec nie dając sobie rady z wychowywaniem dzieci oddał nad do Zakładu Opiekuńczego. To były ciężkie czasy; bez rodziców, bez domu. W czasie pierwszej wojny światowej przeżyliśmy głód i nędzę. Jako niespełna 18-letni chłopak znalazłem się w Sochaczewie, w piekarni, którą dopiero budowano, jako praktykant. Pracowałem więc przy jej budowie. Gdy produkcja pieczywa ruszyła, praca okazała się bardzo ciężka. Były dni, że harowaliśmy po 20 godzin na dobę. Uciekłem stamtąd. Pojechałem do Suchedniowa, także do piekarni. Przed samym wyzwoleniem na czeladnika majster tak mnie zbił, bo coś mi się nie udało, że wróciłem do Sochaczewa. Lata 1923–25 to służba wojskowa. Potem zaczęły się już lepsze czasy. Otrzymałem stanowisko kierownika piekarni „Antonin". Wreszcie, przed samą wojną, w 1938 roku, wybudowałem własną piekarnię. Właśnie tę, w której dzisiaj się znajdujemy. Wybuchła wojna. Niemcy wywozili z Warszawy piece piekarskie i różne maszyny, moje także wywieźli. Po wyzwoleniu Warszawy, jako przedstawiciel Komisji Likwidacyjnej zajmowałem się ściąganiem do Warszawy tych wywiezionych pieców i maszyn. Skompletowałem wyposażenie do 17 piekarń.

Uruchomiłem także swoją. Niedługo jednak w niej pracowałem, były to czasy niełatwe dla rzemiosła. Zacząłem więc pracę w „Społem" jako technolog i starszy inspektor piekarń w Polsce. I tak już do emerytury. Gdy wysłano mnie na emeryturę stwierdziłem, że mam za wiele energii, aby odpoczywać. Chciałem jeszcze coś dać społeczeństwu. W 1967 roku uruchomiłem wreszcie swoją piekarnię, z którą los rozdzielał mnie przez tyle lat.

Moja znajomość zawodu piekarza jest dość wszechstronna, byłem i jestem piekarzem, ale też i specjalistą od budowy pieców. W „Społem" byłem przewodniczącym komisji egzaminacyjnej. Podpisałem 2 400 dyplomów na piekarzy. Dzisiaj praktykują u mnie młodzi ludzie i powiem pani szczerze, że gdyby któryś z nich oblał egzamin, to bardzo bym się wstydził. Może jestem czasem dla nich surowy, ale chcę ich wykształcić na dobrych, uczciwych piekarzy, gdyż fuszerka jest natychmiast odczuwalna w jakości pieczywa. A klienta się nie oszuka.

Mistrz Gutkowski ma w tej chwili 80 lat, ale energią i znakomitym humorem może zaimponować niejednemu młodzieńcowi. Gdy oprowadza mnie po piekarni smakowicie pachnącej świeżym pieczywem, mówi, że podstawą dobrego samopoczucia jest szacunek do wykonywanego zawodu. Jeśli lubi się swoją pracę, to ma się też w niej sukcesy.

– Czy rzeczywiście nie ma żadnej tajemnicy w pieczeniu dobrego chleba? – pytam, znając przecież smak chleba kwaśnego, szybko czerstwiejącego.

– Podstawowe produkty to, jak wszyscy wiemy, mąka i woda – odpowiada pan Gutkowski. – W dieżach nastawiamy rozczyn, który fermentuje przez kilka godzin. A wyrabiać ciasto trzeba z wyczuciem, żeby „nie męczyć glutenu", od zawartości glutenu w mące wiele zależy.

Gdy proszę o wyjaśnienie tego tajemniczego dla mnie terminu, dowiaduję się, że gluten jest to składnik, który decyduje o ciągliwości, spoistości ciasta. Dowiaduję się także, że przy wyrabianiu ciasta trzeba uważać „na dotyk", a więc na jego konsystencję, żeby nie było za „sztywne" lub za „wolne".

W piekarni pana Gutkowskiego rzeczywiście można zapoznać się z całym cyklem produkcyjnym chleba. Tylnymi drzwiami mężczyźni oprószeni na biało wnoszą worki z mąką. Od frontu w sklepiku na półkach leży gotowy już ciepły chleb. W piekarni stoją dzieże z nastawionym ciastem, przy wielkim stole uczniowie i mistrzowie formują ciasto w bochenki, które włożone do koszyczków czekają na regałach na swoją kolej do pieczenia.

Ot, cała filozofia. A jednak nie jest to praca łatwa. Piekarz nie ma wolnej soboty, ani niedzieli, bo w poniedziałek klienci chcą mieć świeży chleb.

– Bardzo proszę, żeby pani napisała – mówi na pożegnanie pan Gutkowski – że chociaż nie jest to praca lekka, to jednak bardzo potrzebna i niezastąpiona. Bo czym można zastąpić chleb?

HANNA MIERZEJEWSKA

Fot. **Marek Szymański**

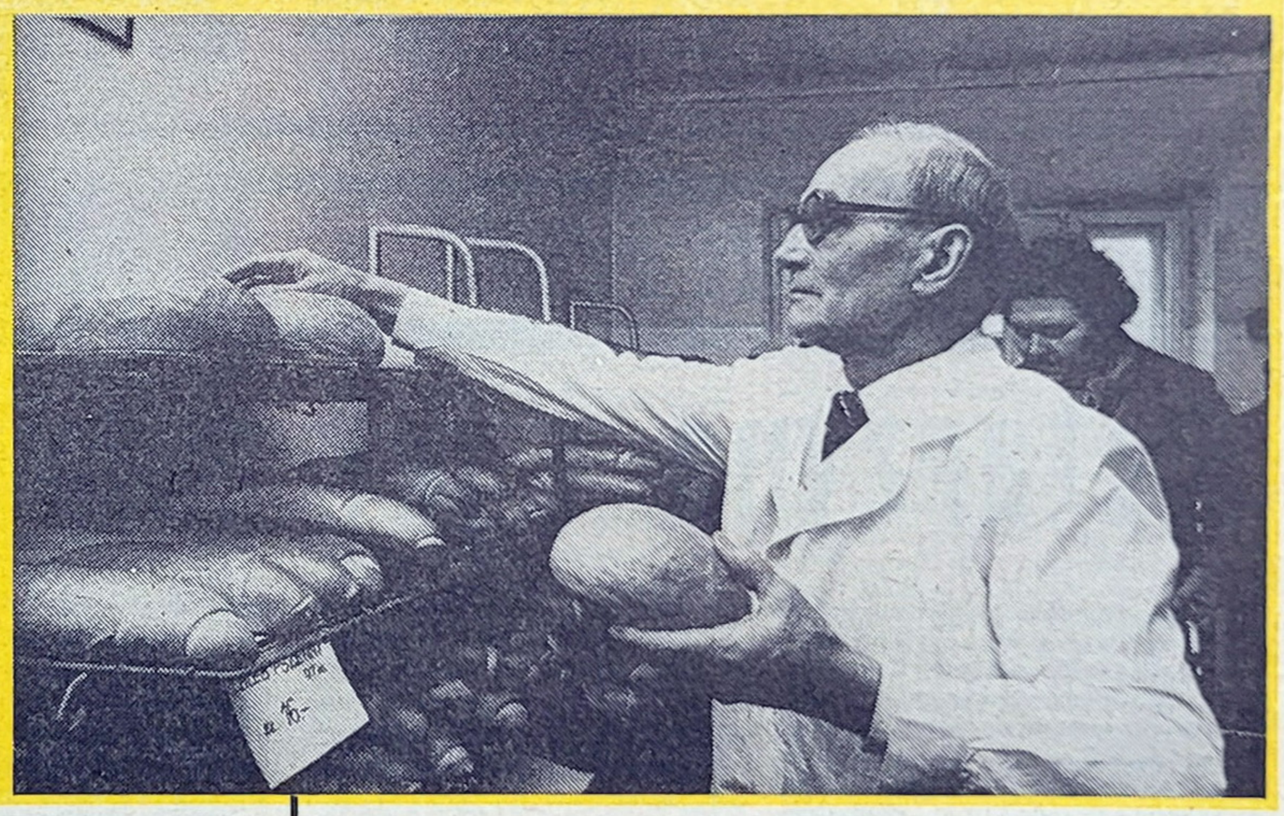

TYM RAZEM „NA RÓŻOWO" O WAKACJACH W WARSZAWIE I WYJAZDACH DO KRAJÓW SOCJALISTYCZNYCH

Wakacje z „HARCTUREM"

(Inf. wł.) O tegorocznych wakacjach pisze się i mówi więcej chyba niż kiedykolwiek. Wszyscy bowiem zainteresowani – kuratoria oświaty i wychowania, ZHP, zakłady pracy i organizacje społeczne – pragną pomóc w ich zorganizowaniu w tych trudnych i szczególnych warunkach. By wakacje'82 nie różniły się przynajmniej od tych w roku ubiegłym.

Warszawskie Biuro Usług Turystycznych ZHP „HARCTUR", co roku organizujące wypoczynek dzieciom i młodzieży przyjeżdżającym do Warszawy, przygotowało już szereg ciekawych propozycji. Skorzystają z nich zuchy i harcerze przebywający na obozach i koloniach w Warszawie i jej okolicach, uczestnicy obozów wędrownych oraz dzieci i młodzież z małych miasteczek i wsi, przyjeżdżające do stolicy na krótkie wakacje.

Głównie z myślą o nich przygotowano 7-dniową imprezę **„10.000 minut wakacyjnych przygód"**. Jest to, jak dumnie twierdzą organizatorzy, jedno wielkie pasmo szczęścia. No, szczęścia – to może przesada, ale jeśli będzie to pasmo dobrej i mądrej zabawy, pełnego wrażeń wypoczynku – o to właśnie chodzi! W dodatku oprócz ciekawego i nieszablonowego poznania Warszawy, dzieci wrócą do domów na resztę wakacji, spędzanych już w domu z przypominanymi lub nauczonymi grami i zabawami, szczególnie tymi związanymi z NAL-em.

Specjalnie dla kolonii zuchowych przygotowano **„Bajki i legendy Warszawy"** – sposób na poznanie miasta tropem legend i bajek o Warsie i Sawie, Złotej Kaczce i Bazyliszku, o warszawskiej Syrence. Dla tych młodszych (głównie do kl. V) przeżyciem będzie impreza pn. **„Świat zwierząt"**. Jest to niby zwyczajna wycieczka do ZOO, ale zupełnie prywatna – do wybranych zwierząt, które można dotykać, głaskać, karmić. Nagrodą w ubiegłorocznym konkursie rysunkowym o zwierzętach był żywy chomik, co prawda w słoiku, bo nie było klatki, ale zawsze. Co będzie w tym roku – nie wiadomo.

„Telewizja bez tajemnic" – prawdziwe studio telewizyjne, gdzie samodzielnie nagrać można program. **„Lot z «HARCTUREM»"** – wycieczka na lotnisko „od kuchni", **„Spotkanie z SONDĄ"** – prezentacja nowoczesnej techniki, wreszcie **„Opowieści Starego Wiarusa"** pod tym hasłem kryje się szarża husarii, parada ułanów, czy **„Oręż Rzeczypospolitej"** – wizyta na poligonie, gdzie wszystkiego można dotknąć, a dla najlepszych – przejażdżka nowoczesnym czołgiem.

Również warszawski klub sportowy „Polonia" dokłada swą „cegiełkę" do tych, oby udanych, wakacji. Stawia do dyspozycji gości „HARCTURU" swoje stadiony. Każda grupa młodzieży będzie mogła rozegrać mecz na prawdziwym boisku, spotkać się z prawdziwym olimpijczykiem czy zasięgnąć fachowych rad trenera sportowego. Atrakcji proponują Wam więc sporo – tylko przyjeżdżajcie!

Młodzież szkolna, harcerska – ta starsza (od 13 lat) – może uczestniczyć w obozach organizowanych przez „HARCTUR" w Bułgarii, Rumunii, NRD, na Węgrzech, Czechosłowacji i ZSRR. Są to wakacje na pewno bardzo atrakcyjne, ale też nie tanie (14.500–17.000 zł pobyt 14-dniowy). Więc nie dla wszystkich.

Jeśli jednak kogoś z Was zainteresują atrakcyjne wakacje za granicą, podajemy adres „HARCTURU": **Biuro Usług Turystycznych HARCTUR, ul. Niemcewicza 17, 00-973 Warszawa.**

Krystyna Klimowicz

Z NOTATNIKA FILATELISTY

redaguje Piotr Wieczorek

Polskie karty i koperty pocztowe z wydrukowanym znakiem opłaty, zwane w środowisku pocztowo-filatelistycznym jako „całostki", cieszą się od wielu już lat wielką popularnością wśród filatelistów krajowych i zagranicznych, szczególnie za ich wysoki poziom artystyczny oraz różnorodną tematykę.

W roku bieżącym, jak zapowiedziało Ministerstwo Łączności, ukażą się trzy ozdobne koperty pocztowe, między innymi jedna z nich poświęcona

będzie budowanemu aktualnie statkowi szkolnemu „Dar Młodzieży".

Wstępnie zapowiedziano również wydanie 17 okolicznościowych kart pocztowych o różnorodnej tematyce, która nawiązuje do różnych rocznic, wydarzeń, imprez itp. A oto tematy tegorocznych kart pocztowych: stare budynki pocztowe (2 karty), 700-lecie szpitalnictwa kaliskiego, Jan Pocek – poeta ludowy, II Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków w Lublinie, Odnowa Krakowa (2 karty), Dzień Telekomunikacji, Polski Czerwony Krzyż, 50-lecie klubu „Pocztowiec", 100 rocznica urodzin prof. Mierzejewskiego, Działacze Polskiego Związku Filatelistów, Legendy polskie, Dzień Olimpijczyka, 150-lecie Sanockiej Fabryki Autobusów AUTOSAN.

Należy się liczyć z tym, że w ciągu roku mogą nastąpić w stosunku do pierwotnego planu pewne zmiany lub też uzupełnienia wynikające z aktualnych wydarzeń w kraju i zagranicą.

Dziś przedstawiamy jedną z okolicznościowych kart pocztowych wydanych przez Pocztę Polską w roku 1981, która poświęcona jest XXX-leciu Zespołu Pieśni i Tańca „Krakowiacy".

ANNA DYMNA

dla której nadszedł czas aktorstwa dojrzałego

Tak, tak... Anna Dymna jest już po trzydziestce. Wierzyć się nie chce – ale jednak. Zadebiutowała na ekranie jeszcze jako studentka krakowskiej PWST, którą ukończyła trzy lata później, w 1973 roku pod panieńskim nazwiskiem Dziadyk. Jej domeną były role typowych nastolatek, długowłosych panienek w jeansach, którym nawet spodnie nie odbierają dziewczęcości. Smukła, drobna, ciemnowłosa i ciemnooka – szybko stała się ulubienicą widzów: chłopaków – którzy widzieli w niej ideał dziewczyny i dziewcząt, które chciałyby być do niej podobne.

Jak na twórczy dorobek – Anna Dymna jest bardzo, bardzo młoda. Ma na swoim koncie kilkadziesiąt filmów – na dużym ekranie i w tv – w kraju, w NRD, na Węgrzech. Poza granicami jest równie popularna, jak w Polsce. W ostatnim czasie, trzeba przyznać, że telewizja nie zapominała o niej. Wznowiono przecież komediowy cykl o Pawlakach i Kargulach – gdzie wnuczka Ania miała niepoślednią rolę, w serialu Jerzego Hoffmana grała sanitariuszkę Anię – siostrę komunisty i kochała się w byłym oficerze armii Andersa. W „Królowej Bonie" oglądaliśmy ją jako Barbarę Radziwiłłównę – miłość Zygmunta II Augusta. Barbara w rzeczywistości była ponoć słodką, błękitnooką blondynką, ale przecież Jadwiga Smosarska – wybitna poprzedniczka pani Anny w tej roli – była kruczą pięknością. Anna Dymna przypomina widzom serialu, że Janusz Majewski przystąpił już do przygotowania kinowego obrazu miłości Barbary i Zygmunta Augusta w „Epitafium". Tam dopiero aktorka zaprezentuje pełny wizerunek tragicznej królowej Polski.

Ostatni przebój Anny Dymnej – to niewątpliwie filmy Jerzego Hoffmana – „Znachor". W roli Marysi – córki prof. Wilczura jest jak zwykle śliczna i dziewczęca, ale w innym niż dotychczas stylu. To niewątpliwie interesująca kreacja.

Dotąd aktorka narzekała, że na planie filmowym kazano jej zazwyczaj być po prostu sobą. Chwilami myślała, że nie udało jej się uchronić od stereotypu. Ale wygląda na to, że ten etap jej kariery, który, co tu dużo ukrywać, przyniósł jej ogromną popularność – ma już za sobą.

Jedynym więc jej zmartwieniem jest teatr, który jak dotąd jej nie rozpieszczał, stąd zresztą, jak twierdzi jej liczne ucieczki do filmu. Okres spędzony na pracy w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie nie zaowocował żadną wybitną rolą – ale teraz Anna Dymna jest w zespole teatru cieszącego się sławą najlepszego w kraju – Starego Teatru w Krakowie. Ma więc nadzieję, że tu szczęście jej też dopisze. **(eb)**

Fot. **archiwum**

Anna Dymna u boku Tomasza Stockingera – czyli Marysia i hrabia Leszek Czyński w „Znachorze"

DOM MODY świata młodych

Katarzyna i jej pomysły

Nie znam niestety Katarzyny osobiście więc mogę ją Wam o tyle przedstawić, o ile sama przedstawiła się w liście. Ma 15 lat (skończyła w lutym), chodzi do I klasy LO, mieszka w Krakowie, a przyjaciele wołają na nią... Magda. W liście swym (bardzo długim zresztą) napisała Katarzyna (Magda?) m. in. *„Wiele dziewcząt-nastolatek ma dosyć skromne zasoby finansowe. Dziewczyny b. często marzą o ciuchach, kosmetykach, paseczkach itp., które są sprzedawane w butikach. Marzą i... wzdychają tylko, bo przecież nie mają „tyle pieniędzy". A jest przecież bardzo wiele sposobów, by wyglądać fajnie i ciakawie bez pomocy butików. Czy zawsze wszyscy muszą się ubierać podobnie?!"*

I podała następnie Katarzyna (Magda?) kilka pomysłów na drobiazgi, które jej zdaniem dodają wdzięku każdej nastolatce, a przy tym są całkiem niedrogie. Spośród nich wybrałam dwa, moim zdaniem nie tylko niedrogie, ale całkiem proste do własnoręcznego wykonania przez każdą, nawet najmniej „rękodzielniczo" uzdolnioną, dziewczynę.

Pierwszy z nich, to pomysł na modny, elegancki, wąski szaliczek. Taki szaliczek dla ozdoby noszony, nie dla ochrony przed zimnem. W tym celu Katarzyna radzi zakupić w aptece zwykły bandaż gazowy i paczkę farby do tkanin. Dowolnego koloru oczywiście. Katarzyna sądzi, że taki szaliczek ładniej będzie wyglądał nie w kolorze jednolitym, ale w „plamy". Plamy można uzyskać dwoma sposobami. Albo wsadzając do farby bandaż pozwiązywany w różne supełki, albo tak: do wody najpierw wsypać 1/4 farbki i zanurzyć w tym (tzn. gotować) cały bandaż, następnie bandaż wyjąć a do garnka dosypać połowę tej farby, co nam została i maczać w tym np. same końca bandaża, a potem wsypać całą farbę i w tym najmocniejszym roztworze gotować jakiś fragmencik bandaża. Katarzyna dodaje przy tym, że w podobny sposób uzyskuje się „łaciate" podkoszulki. Natomiast jeśli idzie o bandaż, to ufarbowany (i wysuszony oczywiście) owija się dookoła szyi a końce jego wiąże się w supełki. Jeśli ktoś chciałby mieć szaliczek superelegancki, można naszyć na nim w b. małych ilościach drobniutkie jakieś koraliczki czy tzw. dżety.

Drugi pomysł Katarzyny, to naszyjnik... wielofunkcyjny. Potrzebny jest w tym celu kawałek (o wymiarach ok. 20×15 cm) dość grubego materiału. Najidealniejszy byłby sztruks czy aksamit, ale głównie zależy to od tego, co mamy pod ręką i do czego ten naszyjnik będziemy nosić. Materiał zeszywamy tworząc z niego woreczek. Woreczek może być w układzie i poziomym, i pionowym, i kwadratowy, i... całkiem innego kształtu. Woreczek ten zawieszamy sobie na szyi na łańcuszku wykonanym z włóczki szydełkiem. I... naszyjnik gotowy. Można go oczywiście jakoś ozdobić np. naszywając nań koraliki, coś na nim haftując itp. Jest to naszyjnik wielofunkcyjny ponieważ nie tylko służy ku ozdobie – można do niego włożyć długopis, ołówek, małą chusteczkę do nosa... Oczywiście wymiary materiału, które wyżej podałam to wymiary maksymalne, naszyjnik-woreczek może być dużo, dużo mniejszy, natomiast nie powinien być większy niż jakieś 8×6 cm (taki akurat wyjdzie z kawałka materiału, o jakim wcześniej była mowa), bo wtedy nie będzie to naszyjnik żaden, ale worek po prostu. Co zresztą wcale nie znaczy, że taki wieszany na szyi worek-torba nie byłby czymś i zabawnym, i przydatnym, i ładnym. No, ale to byłby już zupełnie inny pomysł.

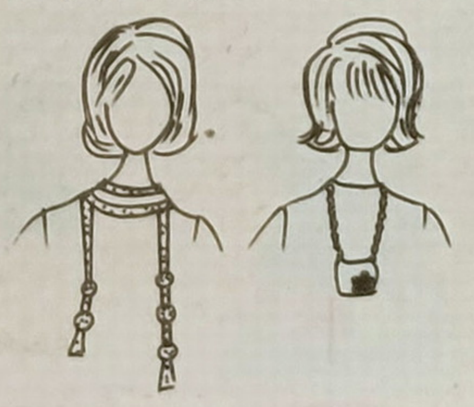

Co z kolei nie znaczy, że na zupełnie inne pomysły nie ma tutaj miejsca. Jest, jak najbardziej! Już w zeszłym tygodniu pisałam, że z niecierpliwością na nie czekam. Dzisiaj to wezwanie powtarzam! Jeżeli któraś z Was ma jakiś ciuchowy pomysł, niech jak najszybciej łapie za długopis i go opisze! Czekam! I to nie tylko ja, ale – mam nadzieję – Wy wszystkie.

RIUSZKA

GDYBY CZŁOWIEK MIAŁ PIĘĆ LAT

tak jak **Małgosia Jasińska z Wrocławia** i potrafił błysnąć malarskim talentem, kto wie – może by również doczekał się własnej, wielkiej, wspaniałej wystawy... A tak to tylko może Wam opowiedzieć co widział. Otóż wystawę tę, złożoną ze 179 (!) rysunków kredkami i farbami, otwarto w sali wrocławskiego Teatru Lalek na I piętrze w marcu br. Artystka, specjalnie wielkim hałasem wokół całego wydarzenia nie zmieszana, pozowała nam do zdjęć oraz przy pomocy mamy udzieliła kilku informacji. Maluje dużo i z wielkim upodobaniem już trzeci rok (!), zwłaszcza gdy nie idzie do przedszkola i siedzi w domu, a tata plastyk akurat jest bardzo zajęty swoimi obrazami. Lub też, gdy towarzyszy mamie borykającej się w kuchni z przepierką czy gotowaniem...

Jakie są te rysunki Małgosi? Pogodne, wesołe, kolorowe kartki w kratkę, pośpiesznie wyrwane z zeszytu i duże kartony z bloku. Uśmiechnięte dzieci, domki, kwiaty i dużo słoneczka. Postacie królewny (to mama) i wizerunek taty w okularach. Co lubi? To samo co wszystkie dzieci w jej wieku, a poza tym teatr, który ma tuż pod bokiem, po drugiej stronie ulicy. Przedszkole na Łąkowej też by lubiła, gdyby nie fakt, że brakuje w nim różowych kredek – są tylko niebieskie, no, ale może da się jakoś to poważne niedopatrzenie naprawić...

Wrocławski Teatr Lalek po wystawie Małgosi, która będzie czynna do końca maja, przymierza się do następnych – tym razem byłyby to malarskie wrażenia widzów z ostatnio obejrzanego spektaklu.

(tem)

Fot. **M. Szymański**

Fakt, czy złudzenie?

Dźwięk biegnie z... szybkością światła?

AUSTRALIA (PAP). Meteory wchodzące z dużą szybkością w atmosferę Ziemi wywołują falę uderzeniową i efekty akustyczne jak przy wybuchu. Obserwatorzy przelatujących blisko meteorów najpierw widzą ognistą kulę, a dopiero później słyszą eksplozję, gdyż światło szybciej biegnie od dźwięku. Jednak zdarzały się przypadki odwrotne – dźwięk wyprzedzał pojawienie się płonącego meteoru! Uczeni zainteresowali się tym dziwnym zjawiskiem; zebrano relacje naocznych świadków. Badania podjęte przez grupę australijskich fizyków z Sydney ujawniły dziwne zjawisko. W przypadkach gdy dźwięk meteoru wyprzedzał jego widok – nie był to odgłos eksplozji, a raczej rodzaj gwizdu czy szumu. Podczas obserwacji przelotu jasnego bolidu nad Sydney 7 kwietnia 1978 roku słyszano „ponadźwiękowe" dźwięki, co teoretycznie nie powinno mieć miejsca. Co więcej – dźwięki bolidu słyszano z odległości setek kilometrów, z odległości gdzie normalny dźwięk nie dociera. Fale akustyczne miały według obliczeń szybkość światła.

Australijscy uczeni doszli jednak do wniosku, że **z szybkością światła porusza się nie sam dźwięk, lecz jakieś elektromagnetyczne promieniowanie, emitowane przez lecący bolid.** Może to mieć związek z jonizacją warstw atmosfery przy wtargnięciu meteoru. Powstające wówczas fale elektromagnetyczne wzbudzają dźwięk albo oddziałują na organizm ludzki, stwarzając złudzenie szumu. Takie złudzenie akustyczne osiąga się też przez przepuszczenie słabego prądu przez ucho środkowe. Zjawiska te wymagają jeszcze dalszych badań. **(tok)**

Wrocławianin – najlepszy

PAP. W dniach 20–23 marca odbyły się w Białymstoku ogólnopolskie przesłuchania uczniów klas fortepianu państwowych szkół muzycznych stopnia średniego, w których wzięło udział 47 młodych pianistów.

Pierwszą nagrodę zdobył uczeń V klasy Państwowego Liceum Muzycznego im. K. Szymanowskiego, Krzysztof Jabłoński. Krzysztof zapowiada się na znakomitego pianistę. Sukces w Białymstoku jest kolejnym – po mediolańskim – tego chłopca. Gratulacje – troszkę spóźnione – od „ŚM"! **(kl)**

List kolegi Lebiedziewicza o rzekomym odkryciu w Ameryce Południowej, przez niejakiego Moricza tajemniczych korytarzy będących jakoby dziełem przybyszów z kosmosu (nr 15 „ŚM") – jak należało się spodziewać – wywołał polemikę. Przy czym wśród listów nie znalazłem ani jednej opinii broniącej owego odkrycia. Atmosferę polemiki oraz kontrargumentację najlepiej oddaje wypowiedź Krzysztofa Operacza z Warszawy. Mam nadzieję, że listem tym kończymy sprawę „tajemniczych korytarzy".

PREZES

Fenomen korytarzy

Mimo komentarza do listu kolegi K.M. Lebiedziewicza chciałbym przedstawić kilka faktów lub hipotez tłumaczących „Fenomen korytarzy". Z góry zastrzegam, iż artykuł przeczytałem dokładnie kilka razy i nic nie mogło ujść mojej uwadze.

Pierwszym argumentem kolegi jest wiek i długość korytarzy. Wiek osądzony na kilka tysięcy lat jest grubo przesadzony. Maksymalny wiek tych korytarzy ocenia się na 1500 lat. Długość korytarzy jest mierzona w kilometrach ale jest to około 60 km a nie jak napisał kolega setki.

Jak wynika ze słów kolegi korytarze te zawierają wielkie skarby. Czyżby były one tak wielkie, że niejaki Juan Moricz nie mógł wynieść stamtąd nawet jednego posążka?

Wejście do korytarza ma „tylko" 8 m wysokości, 2,5 m szerokości (oczywiście jest na tyle małe, że nikt go do tej pory nie zauważył) i jest umieszczone na kamiennym łożysku kulkowym. Pomyślmy o tym łożysku. Kamień jest twardy, dobry do budowy budynków, ale nie łożysk. Łatwiej byłoby zastosować łożysko plastykowe (kosmici musieli to znać) niż kamienne. Wypolerowanie kamienia do tego stopnia aby czterech ludzi mogło z łatwością przesunąć tak wielkie kamienne drzwi jest niemożliwe. Zresztą łożysko kamienne nigdy nie osiągnie takiego stopnia doskonałości jak inne. Na pewno nie wytrzymałoby takiego długiego istnienia. Ja w ogóle twierdzę, że takie drzwi **nie istnieją.**

Wróćmy jednak do korytarzy. Cytuję słowa kolegi... „Ściany i sufit są gładkie... Tunele musiały być wykute jakimś bardzo precyzyjnym narzędziem... jakby były stopione laserem". Po pierwsze ściany są chropowate choć bez stalaktytów i stalagmitów i pofałdowane. Udało mi się zobaczyć kilka zdjęć z jednego z artykułów Daenikena, wcale nie twierdzę, że zdjęcia pochodzą z korytarzy i że są w ogóle autentyczne. Cóż za gigantyczne musiało to być urządzenie aby wykuć setki korytarzy (na razie zbadanych jest 60, jak pisze kolega, nie wiadomo ile tego w ogóle jest), sztolnie, platformy i galeryjki (te ostatnie z artykułu Daenikena) i co za wspaniałe musiały być maszyny, które usunęły inne urządzenia bez zostawienia jakichkolwiek śladów. Jak dowiadujemy się z wywodów kolegi Lebiedziewicza kompas w korytarzach nie działa, zapewnie na skutek jakiegoś promieniowania. Jeżeli Juan Moricz nie posiadał kompasu (a chyba nie mógł posługiwać się żyrokompasem) to w jaki sposób zbadał „setki kilometrów" (dosłowny cytat) korytarzy?

No i doszliśmy do supersensacji a raczej do sali o wymiarach 110×130 metrów zaladowanej różnymi przedmiotami ze złota. Są tam postacie słoni, krokodyli i wielbłądów (wymieniłem tylko zwierzęta nie znane w prehistorii, bo wtedy według kolegi zostały korytarze zbudowane w Ameryce Południowej). Kolega zapomniał o jeszcze jednej sensacji, znajduje się tam kilka figurek, na początku uważanych za ptaki, dopiero później gdy do tej sławetnej sali wszedł specjalista od lotnictwa wśród figurek ptaków zauważył **modele samolotów**, między innymi słynne B-51. Natomiast kolega zaskoczył mnie zupełnie plastykowymi, podgrzewanymi krzesłami. To wszystko mogę skomentować jednym zdaniem, gdy podczas jednego ze swoich odczytów wobec grupy archeologów francuskich Daeniken mówił o tych korytarzach, został poproszony przez naukowców o wskazanie drogi do tej komnaty. I cóż na to Daeniken? Po prostu odmówił argumentując to tym, iż boi się aby nikt nic stamtąd nie ukradł.

Tajemnicze książki kosmitów. Kilka tysięcy płyt zawieszonych na niczym bez żadnych urządzeń w powietrzu. Czyżby Juan Moricz był tak chorowity, że nie mógł wynieść ani jednej. Jeżeli tak, to chętnie mu pomogę.

Na podsumowanie pozwolę sobie przytoczyć moją hipotezę; korytarze to po prostu jaskinie, w których jakieś plemiona indiańskie urządziły sobie obiekt sakralny.

Krzysztof Operacz
Krasińskiego 21 m 15
01-566 Warszawa

PS. Chętnie nawiążę korespondencję.

GRANICE ŻYCIA

Szanowny prezesie TOMIKA, chciałbym w nawiązaniu do artykułu kolegi Andrzeja Olewczyńskiego pt. „Granice Życia" z dnia 9.III.82 r. dorzucić kilka słów na ten temat. Otóż gdzie może powstać życie podobne do ziemskiego? Jeden z amerykańskich astronomów H. Shapley ustalił pewne kryteria, na podstawie których można szukać odpowiedzi na to pytanie.

1. Życie może powstać tylko na planetach
2. Stateczne układy planetarne mogą mieć tylko pojedyncze gwiazdy
3. Tylko niewielka liczba pojedynczych gwiazd przeszła swą ewolucję w taki sposób, że przy gwieździe utworzył się układ planetarny
4. Życie może powstać i rozwinąć się tylko na planetach o orbitach zbliżonych do okręgu, gdyż tylko wówczas na powierzchni planety panuje mniej lub więcej stała temperatura
5. Dla życia są niezbędne woda i atmosfera, a zatem planeta musi mieć wystarczająco dużą masę, aby móc utrzymać swoją atmosferę i hydrosferę
6. Atmosfera i hydrosfera nie mogą zawierać substancji trujących.

Jeżeli gdzieś istnieje życie to muszą także istnieć planety. Dziś znamy kilkanaście gwiazd z planetami, ale równie dobrze mogą to być małe gwiazdy tzw. białe karły. Nadzieje na posiadanie planet rokują między innymi gwiazdy Eta Kasjopei, 70 Węża i 61 Łabędzia. Masy ich satelitów są mniej więcej 10 razy mniejsze od najmniejszej znanej nam masy gwiazdy i mniej więcej 10 razy większe od masy największej znanej nam planety Jowisza.

Bardzo ciekawym obiektem jest gwiazda Barnarda, zaobserwowano u niej wahania w ruchu mające okres 24 lat. Zakłócenia te może powodować tylko niewidoczny satelita, który jest tylko półtora raza większy od Jowisza. Mimo wszystko trzeba stwierdzić, że masy wszystkich satelitów są duże, tak że te ciała niebieskie różnią się wyraźnie od planet naszego Układu Słonecznego.

Na zakończenie chciałem dodać, że życie oparte na procesie białkowym nie jest jedyną możliwością. Rozpatrzono już chemiczną stronę możliwych procesów życiowych przy innych rozpuszczalnikach i innej atmosferze. Tak np. przy amoniaku jako rozpuszczalniku, podstawowym składnikiem atmosfery musi być azot, a zakres temperatur świata żywego byłby niski i zawierałby się w granicach od –78°C do –33°C. Przy procesie życiowym opartym na krzemie lub germanie życie mogłoby istnieć przy temperaturach wysokich, od +200°C do +400°C, skład rozpuszczalnika przy tak wysokich temperaturach nie został jeszcze wystarczająco ustalony. Możemy więc spodziewać się życia nie tylko na planetach podobnych do naszej Ziemi.

Andrzej Gurowietrz
czł. PTMA i K.M.A. Hadar

Życie może powstać tylko na planetach. Ale jest to warunek wstępny – do życia potrzebna jest także woda, odpowiednia temperatura, atmosfera. Na Ziemi życie powstało prawdopodobnie w wodzie. Na zdjęciu – mikroskopijne żyjątka zwane asterionella

Podnosząc się w górę łagodnym wzniesieniem, urozmaiconym kępkami zieleni przechodziło się w gęsty park otaczający zabudowania.

W dole przy rzece wszystko było otwarte. Oczy z łatwością ogarniały dalekie obszary. Cóż, kiedy nie pokazały się na nich ni pies, ni kot, ni wypatrywana i jakże oczekiwana sylwetka człowieka.

Ptaki pokrzykiwały nad wodą. Zmęczyły Zuzkę. Wolała już park, gdzie między drzewami mógł jednak ktoś spacerować.

Na dobrą sprawę ten ktoś powinien czekać przed domem, jeśli wiedział o przyjeździe. Mógłby podać rękę przy wysiadaniu z bryczki, jak to robił zawsze wujek Hubert w stosunku do ciotki Tiluni a także Teresy.

Gabrysia pobiegła na pierwsze zawołanie Zdenka, a Zuzka się ociągała.

– Wspaniałe powietrze! – zawołała. – Idę, już idę!

Wtedy usłyszała Witka.

– Dzień dobry!

Wstał z ławki i szedł nie spiesząc się. Trzymał w ręku książkę.

– Dzień dobry i nie mam czasu – odpowiedziała. – Nie słyszysz, że nas wołają?

Zawrócił i to było wszystko. Łatwo zrezygnował z lepszego przywitania. Poszedł z książką tam gdzie siedział i nie podniósł głowy, gdy Zuzka się odwróciła wchodząc do domu. Mało był widoczny pod zwisającymi gałęziami drzewa. Gdyby chciał, to by się przecież wychylił. Nie chciał tego.

– Ale poczęstowali! – powiedziała Gabrysia w drodze powrotnej do Podłęża.

– Prawdziwe świństwo – potwierdziła Zuzka.

Wszystko było nieudane – myślała – lekcja, Witek i to przyjęcie „od własnych kurek", oby się więcej nie niosły!

Zdenek i Stenia mieli swoje kury i jedli kogel-mogel do znudzenia. Nietaktem jednak było, by tą słodką, mdłą, w dodatku źle ukręconą mazią częstować gości na powitanie. Owszem, przygotowali jeszcze pestki z dyni i ze słonecznika. I ciasteczka własnej roboty, to znane wafle posypane utartą czekoladą, która leciała po palcach nim się do ust doniosło. Nikt nie pomyślał, żeby zrobić z niej masę dodając masła do zlepienia.

Przyjęcie nie wyszło, a z lekcją było jeszcze gorzej.

– Niewiele umiecie – orzekła panna Okular po wstępnych zapytaniach.

– Nauczymy się, mamy czas – odparła Gabrysia. – Jesteśmy zdolne i staranne, zobaczy pani.

– Nie odpowiadaj za kogoś – szturchnęła ją Zuzka. – Ja na przykład pilnością nie grzeszę.

Zdenek i Stenia, którzy byli na lekcji nie wiadomo po co, tylko czekali na okazję, żeby się rozweselić. Zachichotali więc zgodnie w tym samym momencie.

Wtedy panna Okular kazała im wyjść z pokoju.

I tak miała cierpliwość, by znieść ich obecność od początku. Mieli swoje lekcje i nie musieli się douczać na cudzych. Siedzieli tu dla przyjemności własnej. Bo trudno mówić o przyjemności Zuzki i Gabrysi, gdy lekcja była jak była. Właśnie taka.

Odczuły ulgę, gdy zostały same z panną Okular. Po niefortunnym początku straciły jednak humor i pewność siebie. Gdy na temat przeczytanej lektury nie miały nic do powiedzenia, panna Okular zapytała:

– Nie czytacie?

Czytały, owszem, tylko że nie nazywały tego lekturą. Była to niezwykła przyjemność, czasem – gdy kazano iść spać – ukrywana przy palonej potajemnie lampce.

Zuzka po prostu pochłaniała książki. Ale nie opowiadała o nich. Miała swoje przeżycia, z nikim nie dzielone. Pod wpływem książek zmieniał się jej świat i była stale zmieniającą się bohaterką.

– Opowiedzcie o swoim domu – odezwała się panna Okular, chcąc sprawdzić umiejętność wysławiania.

Gabrysia z wielką dokładnością opisała dom w Podłężu. Wyliczyła wszystko, co w nim było. Zapomniała o ogrodzie.

Zuzanna musiała uzupełnić jej opowiadanie.

Od ogrodu zaczęła. Nie wiadomo kiedy obok drzew owocowych pojawiły się w nim głogi i twarde owoce klonów rozsypane na trawie. Lipa stała przed pałacem w cementowej obręczy.

– Hamuj się – szepnęła Gabrysia.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.) Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk (sekretarz redakcji), Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski, Marek Zarębski (zastępca sekr. red.)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 1951/G Z-33

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-581

Telefon bez drutu

W sto lat od zainstalowania w Wiedniu pierwszych telefonów, austriacka poczta obsługuje 2,3 mln abonentów i podłącza rocznie po 150 tys. nowych. Oprócz takich udogodnień jak specjalny guzik uruchamiający połączenie alarmowe dla obłożnie chorych oraz możliwość uzyskania informacji z komputera na ekranie telewizyjnym, austriacka poczta – oczywiście za dodatkową opłatą – będzie instalować aparaty podłączone do sieci telefonicznej za pomocą promieni podczerwonych. (kl)

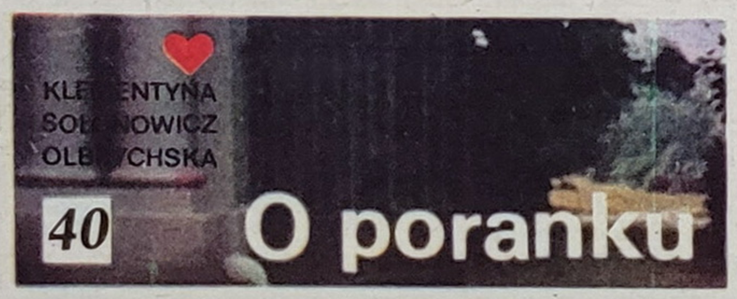

O poranku

Jadły w stołowym, a Ulinka podała ojcu i gościowi dość skąpą kolację na werandzie. Wiało tego dnia i wszystko prędko stygło. Nie była już pora do posiłków na świeżym powietrzu.

– Pani źle się czuje – oznajmiła Ulinka, spełniając polecenie mamy.

Taką karę obmyśliła matka, która miała ostre pazurki i każdy prócz gościa o tym wiedział.

Mam po mamie – pomyślała Zuzka o swoim usposobieniu.

Zresztą mama też potrafiła się znaleźć.

Nie pomogło tatusiowe wołanie „Mamusku, prosimy do nas, powietrze dobrze ci zrobi". W mieszkaniu było głucho aż do wyjazdu administratora, który bądź co bądź przyjechał na inspekcję.

Bryczka w drodze do Bączek leciutko skrzypiała. Było sucho i Olech rozluźnił lejce. Dłuższy czas już tak jechali pomalutku. Dziewczynki milczały. Gabrysia zasypiała, a Zuzka nie mogła opędzić się od myśli, które goniły się i prześcigały. Jechała po naukę i kto wie, czy nie po szczęście. Było wszak szczęściem zobaczyć Witka.

Z drogi dom nie był widoczny. Nawet gdy konie skręciły już w aleję, a Olech je popędził, by ładnie okrążywszy gazon podjechać przed taras, nieprędko się odsłonił.

Wśród wysokich drzew, wśród gęsto zarastających krzewów nawet w dzień panował tu mrok. Nikt nie pielęgnował kwiatów. Rosły gdzieniegdzie krzewy jałowców, zbite w gromadki jak spłoszone owce. Nad nimi dęby rozcapierzały mocne gałęzie. Rabatki zamieniły się w wąskie trawniki, pośród których podobne do opadłych listków bielały zdziczałe bratki.

Najwyraźniej brakowało tu ręki ogrodnika.

– Wyłaź, jesteśmy – szepnęła Zuzka do śpiącej Gabrysi.

Jeszcze nie wysiadły z bryczki, jak pojawili się przed nimi chłopiec i dziewczynka. Byli młodsi od Zuzanny, tak się przynajmniej wydawało. Obydwoje piegowaci. „Boże krówki na patykach", orzekła Gabrysia. Nogi mieli cienkie, ręce jak baty.

– Nie mogliście później przyjechać? – zawołali prawie jednocześnie.

Nie było to uprzejme przywitanie.

– To jest Stenia – powiedział chłopak.

– A to Zdenek – dodała dziewczynka oblizując łyżeczkę, z której ściekał kogel-mogel. Trzymała w ręku filiżankę z jajkiem.

– Robimy dla was przyjęcie. Jeszcze nie gotowe, a wyście przyjechali.

– Jeśli o to chodzi – odparła Zuzka równie niegrzecznie – nie interesują nas przyjęcia. Przyjechaliśmy na lekcję.

– Pani Okular też jeszcze nie gotowa. Zaczyna nie wcześniej niż o piątej. Teraz jest – Zdenek spojrzał na zegarek, który miał nieruchome wskazówki – jest... niewiele po czwartej. Ona o tej porze jada podwieczorek w swoim pokoju i musicie zaczekać.

– Jest tu chyba jakaś ławka w ogrodzie – włączyła się Gabrysia. Włożyła nową sukienkę i nie miała zamiaru siadać na trawie.

Rozpoczęły się teraz nieco spóźnione zaproszenia. Po co w ogrodzie, co tam ciekawego, prosimy do domu i tak dalej.

– Zawołajcie nas za jakiś czas! – krzyknęła Zuzka i oni przyjęli to z zadowoleniem.

Dom stał na niewielkim wzgórzu, a w dole blisko połyskiwała rzeka.

Zbiegły do niej Zuzka z Gabrysią trzymając się za ręce.

Były tu podobne jak w Podłężu równiny i ta sama łacha wiślana przemykała przez nie jak niebieska wstążeczka. Piaszczyste wybrzeże zajmowało większy niż w Podłężu obszar.

Dokończenie na str. 7